

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 17 lipiec 1949 r.

Nr 28 (190)

Irena Sławińska

PISARSTWO JANA DOBRACZYŃSKIEGO

O twórczości Jana Dobraczyńskiego pisało się u nas niewiele — w każdym razie niewspółmiernie mało w stosunku do jego olbrzymiej poczytności, a co za tym idzie — oddziaływania społecznego. Zjawisko to zanotował już K. Koźniewski, omawiając w „Twórczości” dorobek pisarski autora (wrzesień 1947). Znajdziemy tam sprawozdanie z kolejnych pozycji książkowych autora, wytypowanie zasadniczych jego tendencji literackich a także próbę ustalenia rangi pisarskiej.

Koźniewski zakończył swój esej znakiem zapytania, dotyczącym dalszego rozwoju drogi pisarskiej Dobraczyńskiego. Od chwili sformułowania kwestii upłynęły niemal dwa lata, Dobraczyński wydał kilka nowych książek, które mogą już dostarczyć odpowiedzi. Jeśli zabieram znów głos w sprawie twórczości Dobraczyńskiego, to przede wszystkim ze względu na te nowe pozycje a także dla uzupełnienia bardzo trafnych uwag Koźniewskiego.

Charakter i rozmiary tego artykułu nie pozwalają oczywiście na analizę poszczególnych utworów. Wypadnie więc raczej na tym miejscu poprzestać na pewnych wnioskach natury ogólnej, wysnutych już na podstawie całokształtu dotychczasowej twórczości pisarza.

USTALENIE ADRESU SPOŁECZNEGO

Jan Dobraczyński jest bezspornie jednym z najpopularniejszych polskich pisarzy współczesnych. O popularności tej mówią rozmaite fakty: 1. niemal wszystkie jego książki są już wyczerpane — a więc nie tylko się je czyta, ale i kupuje, by do nich wracać; 2. w wypożyczalniach i bibliotekach — są one w ciągłym ruchu; 3. popularność Dobraczyńskiego ma zresztą zasięg szerszy, już nie tylko ogólnopolski: to pisarz, którego przekłady wprowadziły już na forum ogólniejsze. Z tłumaczonych utworów wymienić należy: **W rozwalonym domu**, **Dwa stopy**, **Skapiec Boży**, **Wybrańcy Gwiazd**. Istnieją przekłady: czeski (1 utwór), słowacki (2 utwory), francuski (2), włoski (1), hiszpański (1), angielski (1). Warto także zaznaczyć, że serię tłumaczeń zapoczątkowała Czechosłowacja (czeskim i słowackim przekładem **W rozwalonym domu**).

Oczywiście zasięg tej popularności — przestrzennie tak szeroki — jest społecznie ograniczony: Dobraczyńskiego nie czytają wszyscy. I jakkolwiek nietrudno byłoby również określić, kto go nie czyta, oznaczmy w przybliżeniu zakres jego czytelników. Muszę się tu odwołać do informacji bibliotekarskich. Świadczą one, że gro-

no czytelników Dobraczyńskiego składa się w większości z ludzi młodych. To są odbiorcy najliczniejsi i najwierniejsi. Do nich te książki trafiają, im są przede wszystkim potrzebne, dla nich zostały widać napisane (może zresztą bez świadomości intencji autora, gdyż możliwa jest taka niezależna od autora zmiana adresu społecznego książki).

Warto w spojrzeniu na pisarstwo Dobraczyńskiego, zatrzymać w świadomości ten adres społeczny, ustalony zresztą w podobny sposób przez K. Koźniewskiego. Pozwoli to ustawić tę twórczość we właściwych perspektywach, przyłożyć właściwe kryteria. Bo na pewno nie można rozważać twórczości Dobraczyńskiego w kategoriach, które przykładamy do wyrafinowanych literacko pisarzy elitarnych, eksperymentatorów czy stylizatorów. Rewelacji formalnych nie znajdziemy tu z pewnością — i nie musimy ich szukać. Problemy doszlifowania artystycznego utworu, oryginalności w koncepcjach kompozycyjnych, odświeżenia języka — mają z pewnością dla Dobraczyńskiego znaczenie drugorzędne. W zakresie techniki powieściowej, a może w ogóle form artystycznej narracji nie wnoszą te książki z pewnością wielu momentów odkrywczych. Innym pokładom i wartościom zawdzięczają swoją wielką popularność.

TROCHE CHRONOLOGII I WPLYWOLOGII

U początku drogi literackiej Dobraczyńskiego jest lektura. Zanim zaczął pisać — czyta. I wcale nie różne „Przeglądy Gospodarcze” czy „Handlowe”, jak przystałoby absolwentowi Wyższej Szkoły Handlowej, lecz właśnie powieści, poezje, studia krytyczne. Już wówczas próbuje też pióra, pisze nawet sporo, na razie jest to jednak tylko publicystyka. Nie wiem, czy już, wówczas — w latach 1935/36 — dojrzała myśl całkowitego zwrotu w kierunku powieści. Przede wszystkim latom tym patronuje bezinteresowna, konkwestadorska pasja wdzierania się w ostępy kultury, pasja podboju wiedzy. Zresztą chodzi wówczas nie tylko o rejony humanistyki. Z równą namietnością próbuje wtedy Dobraczyński ugryźć i Eddingtona i Pascala. Kształci się systematycznie, poświęcając na to wszystkie wolne od pracy biurowej popołudnia w Lublinie. Odległość od rodzinnej Warszawy sprzyja tym namietnościom i — dziwactwom. Okrągły stolik podzielony jest na wycinki kołowe, z których każdy ma odrębne przeznaczenie i zawalony jest innymi książkami. Dobraczyński przesuwają się kolejno od jednej do dru-

giej sterty. W tych spiętrzonych stosach przeważają książki francuskie. Wycinek literatury współczesnej dźwiga przede wszystkim Bernanos i Mauriaca. Wpływy tej lektury wydają się istotnie bardzo trwałe — i nie zawsze szczęśliwe (zjawisko zresztą ogólnej natury, które można by śledzić tak w literaturze francuskiej jak polskiej). Bezpośrednim refleksem tych zainteresowań jest przekład drobnego utworu Mauriaca: **Pelerins de Lourdes** bodaj najwcześniejsza praca literacka Dobraczyńskiego (w przekł.: **Pielgrzymi**).

Następna publikacja — to studium o Bernanosie: **Bernanos — Powieściopisarz** (wyd. 1937). Równocześnie z Bernanosem pasjonuje Dobraczyńskiego G. Papini jako autor „Dziejów Chrystusa” i „Goga”. Entuzjastyczny sąd o pisarzu włoskim wyrazi się wkrótce potem w esaju pt. **Lawa Gorejaca** (św. Wojciech 1939). Zestawienie ideałów literackich Dobraczyńskiego jest bardzo znamienne: Bernanos, Papini, później — L. Bloy. Łączy wymienionych autorów chyba przede wszystkim — wspólność temperamentu. Można ich wszystkich objąć tytułem, projektowanym przez Dobraczyńskiego dla zbioru studiów, wśród których miało się także znaleźć opracowanie Leona Bloy: **Gwałtownicy**. To określenie nie wyczerpuje oczywiście wszystkich punktów styczności między wymienionymi autorami, jest ich o wiele więcej: a więc postawa inkwizytorska wobec współczesności, namiętne oskarżenie miernoty i przeciętności, walka z tym, co reprezentuje „esprit bourgeois” nie tylko Francji, lecz całej cywilizacji współczesnej, katolicyzm ukazany w najostrejszym, najsurowszym profilu — wyraźne dziedzictwo pasła łowskie. Wreszcie rola „enfants terribles”, jaką wszyscy trzej odegrali w swojej epoce i w swoim środowisku.

Zresztą prócz tych tematycznych i ideowych zbieżności wymienieni pisarze reprezentują także literacko typ do siebie zbliżony. Wylączęm w tej chwili Papini, myślę raczej o Bernanosie i Leonie Bloy. Obu cechuje w powieści skłonność do dygresyj lirycznych czy częściowej refleksyjnej, gdzie autor zostawiwszy na boku akcję wprowadza rozważania na wszelkie interesujące go tematy — w najlepszym razie takie rozważania przetrząca na bohatera. Brak wstrzemięźliwości, brak dyscypliny narracyjnej obu „gwałtowników”, wyraźny subiektywizm, to cechy, które L. Bloy zawdzięcza chyba w równej mierze temperamentowi jak i epoce. Zostawia one wyraźny ślad we wczesnej twórczości Dobraczyńskiego. Osobisty, bardzo pozytywny stosunek do

obu francuskich pisarzy utrudnia mu bowiem krytyczną i selektywną postawę w korzystaniu z tych niewątpliwie świeżych, zapładniających strumieni literackich, których świeżość winna strzec ostrzegawcza tabliczka z napisem „Non imitandum”, podobnie jak naszego Żeromskiego.

Na lata 1935 — 38 przypada też dojrzwane pomysłów, związanych z Joanną d'Arc, która w obcowaniu Dobraczyńskiego z kulturą francuską jest zawsze obecna — stanowi tej kultury łącznik ideowy. Pisarz korzysta bowiem z tradycji kulturowej Francji katolickiej. **Dwa Stopy** należy więc odnieść do lat przedwojennych (1936 — 39) — tą wczesnością tłumaczy się też zapewne ich cechy literackie, świadczące o braku doświadczenia pisarskiego, po prostu — niewyrobień technicznym.

Pierwsza powieść Dobraczyńskiego wyprzedza właściwie ten szkielet powieściowy, za jaki można by uważać **Dwa Stopy**. Jest to **Otonowa Obietnica**, powieść historyczna, nagrodzona na Konkursie Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej w Poznaniu. Znamy ją tylko z drobnych fragmentów, które poprzedziły druk całości — nakład jednak (u św. Wojciecha) został całkowicie zniszczony przez Niemców. Charakterystyczne, że już wówczas Dobraczyński podjął temat później opracowany tak niezależnie od siebie przez kilku pisarzy (Gołubiew, Grabski, Bunsch, Parnicki). W tym cyklu piastowskim byłoby to więc pierwsze ogniwo.

Sukces literacki, jakim było zdobycie nagrody, zdaje się utrwać Dobraczyńskiego w przekonaniu, że pisarstwo leży na drodze jego życiowego powołania, że jednak stanie się on „homme de lettres” — mimo groźby, zawartej w noweli Mauriaca pod tym tytułem (w zbiorze „Trois récits”, którego przekład należy do najwcześniejszych prac autora i dotąd znajduje się wśród niedrukowanych jego papierów).

Lata wojenne — dla większości ludzi piszących, okres absolutnego milczenia, okres tylko wewnętrznego notowania doświadczeń — wypełnia Dobraczyński intensywną pracą pisarską. Tu leży sekret jego niezwyklej płodności powojennej, obserwowanej przeważnie z nieprzychylnym zdziwieniem faktu, że Dobraczyński wędruje w ciągu roku kilka książek. Rzeczy te (**Szata Godowa**, **Moczarz**, **Najeźdźcy**, **Przedziwo Jolanty**) powstały niemal w całości w latach 1939 — 44. Można oczywiście dyskusjonować czy powinien być je wstyżać drukować w tej pierwotnej redakcji, czy ich wczesność stanowi dla nich dostateczną legitymację czy też okoliczność łagodząca.

Zostawmy na razie te kwestie, zajęci filologicznym ustaleniem chronologii twórczości. Notujemy tu pierwszą próbę dramatu historycznego, a także pierwszy utwór z pogranicza literatury wspomnieniowo-reportażowej (**Szata Godowa**), napisany na gorąco z przeżyć września 1939. Koźniewski nazwał **Szate** „notatnikiem wojennym”, słusznie kwestionując podtytuł „po wiesi”, jaki autor umieścił na karcie tytułowej. Zjawisko zacierańca odrębności rodzajowej bardzo częste w literaturze współczesnej.

W **Najeźdźcach** notatnik wojenny przekształca się już naprawdę w powieść i to nie tylko ze względu na większy dystans autora do spraw i postaci oraz przytłumienie autobiograficznego wkładu. Z epickim widzeniem rzeczywistości łączy się tu już umiejętność operowania kilku wątkami fabularnymi stworzenia akcji, złączenia jej z narracją. Książka spotkała się zresztą z pewnymi zarzutami, uderzającymi w konstrukcję (np. krytyka potępiła zgodnie zakończenie). Niewątpliwie jednak na drodze do powieści **Najeźdźcy** stanowią bardzo poważne i pozytywne osiągnięcie.

Chronologicznie późniejszą — choć wcześniej wydaną — książką Dobraczyńskiego **W Rozwalonym Domu** jednogłośnie uznano za utwór bardzo wartościowy pod każdym względem. Zwarta, zamknięta, niemal klasyczna struktura tej książki zdaje się stanowić gatunek literacki, najbardziej dopasowany do rodzaju udziału autora, o wiele bardziej, niż wielka powieść. Zachęcono autora, by poszedł w tym właśnie kierunku — chodziło zresztą nie tylko o drobniejszy rozmiar utworu, ale przede wszystkim o dyscyplinę kompozycyjną, jaką tu wykazał.

Dyscyplinę tę odnajdziemy także w opowiadaniach ze **Szarnego Domu** (napisanych w 1946), zwłaszcza w doskonałym **Milosierdziu i Stańku**, które to opowiadania zawdzięczają swoją świeżość także dobrze postawionym postaciom i żywemu środowisku (ulice Warszawy). Niewątpliwie obserwujemy u Dobraczyńskiego ścisły związek między jakością motywów a ich artystycznym wyrazem: żywe jako środowisko jest u niego tylko to, co autor dobrze zna, na co patrzył własnymi oczyma — przede wszystkim więc Warszawa, okupacyjna i powstańcza, jej młodzież, dzieci jej ulic.

Ostatnią dotychczas wydaną powieścią Dobraczyńskiego są **Wybrańcy Gwiazd** (Poznań, 1948, Gustowski). Książka wraca do wcięż obecnej w pisarzu pasji historycznej, zresztą równoległej do głębokiego zanurzenia we współczesność. Ta równoległość i współobecność jest tu bardzo znamieną, nie

Dm 191012

sposób o niej zapomnieć. Jednocześnie nie dzieło to oznacza nowy jakiś etap na drodze przezwyciężenia dawnej rezonerskiej manieri autora a także wyjście ku nowej tematyce i innej problematyce. Powieść ta nie jest osamotnionym wypadem autora w tak daleką przeszłość, w nurt biblijny. Zdaje się otwierać jakiś cykl, skoro następną rzeczą Dobraczyńskiego, którą niedługo poznamy (obecnie w druku — powieść o św. Pawle pt. **Święty miecz**, wraca także w odległą epokę także z Pisma św. czerpie motywy historyczne.

CECHY POWIEŚCI

W rozwoju twórczości uderza więc stopniowe przejście od publicystyki (z razu ogólnej, potem ściślej literackiej) do prozy artystycznej — powieści poprzez różne stadia pośrednie (szkice powieściowe jak **Dwa Stosy**, czy literaturę reportażowo-wspomnieniową czy wreszcie opowiadania). Droga ku powieści jest tu wyraźnym kierunkiem rozwojowym — przy czym, jak zaznaczałam, miano powieści pojawi się u Dobraczyńskiego przed właściwym ukształtowaniem tego gatunku literackiego. Toteż ten rodzaj wydaje się dla Dobraczyńskiego najbardziej reprezentatywny, w jego dorobku pisarskim obejmuje pozycje najważniejsze i najbardziej ważne.

Dla wyciągnięcia wniosków ogólnych o powieści Dobraczyńskiego spojrzmy przede wszystkim na pozycje największe — na **Najeżdźców i Wybrańców Gwiazd**. Nie trudno ustalić wspólność gatunkową, mimo, że utwory są tematycznie bardzo odległe, a formalnie jedna przynależy do powieści współczesnej, a druga — do historycznej. Rozróżnienie takie okazałoby się jednak bardzo nieistotne: zestawienie tych dwóch utworów ilustruje właśnie doskonale zjawisko ogólniejsze — przenikanie ujęć historycznych do powieści współczesnej i vice versa — rzutowanie problematyki aktualnej na odległe epoki. **Najeżdźcy** są przecież próbą rejestrowania na gorąco procesów historycznych (bankructwo hitlerizmu), zaś w **Wybrańcach Gwiazd** spotykamy się z problemami wiecznie aktualnymi (koncepty realizmu politycznego, władcy itp). Wydaje się, że dla Dobraczyńskiego niemożliwa jest postawa obiektywnej obserwacji, bezinteresownego poznania pewnej epoki historycznej — przeszłość służy mu raczej jako materiał ilustracyjny do tez aktualnie ważnych i gorących, które transportuje wstecz.

Jeśli zacierza się tak całkowicie różnica między powieścią współczesną a historyczną, decyduje o tym — jak się wydaje — przede wszystkim wspólność problematyki, tak u Dobraczyńskiego jak i gdzie indziej. Powieść Dobraczyńskiego krąży stale wokół zagadnień pewnego typu. W centrum jest zawsze człowiek — najważniejsze są jego reakcje, jego spotkania z faktami i moralne konsekwencje tych spotkań. Toteż z nurtu historii wydobywa autor przede wszystkim ten sens humanistyczny i indywidualny. Oczywiście można w tym miejscu wysunąć zastrzeżenie, że to jest właśnie dziedziną powieści, jej proprium (vide rozważania St. Skwarczyńskiej w rozprawie „Z teorii literatury”) — widzenie zdarzeń przez pryzmat ludzkiego przeżywania. Tu chodzi jednak o bardziej specyficzny sens tego sformułowania: wyraźne podkreślenie, że fakty służą człowiekowi, temu właśnie człowiekowi, jego moralnej dojrzałości — są istotnie szansą do wygrania, „pro pozycją Opatrzności”. To jest przecież kluczowa teza „Miłosierdzia”,

gdzie straszliwe przeżycia chłopca, ukrywającego się w ruinach, a następnie jego śmierć w obronie innych i zamiast nich — uzyskują sens łaski, danej dla jego moralnej rehabilitacji. Podobnie w „**Rozwalonym Domu**” wszystkie powstańcze przeżycia prowadzą Magda lenę ku wewnętrznej rekonstrukcji — i to jest zasadnicza motywacja wszystkich zdarzeń jej życia. Teza naturalnie bardzo katolicka i w obu utworach najistotniej ze spólna z całą konstrukcją. W **Najeżdźcach** główną przesłanką do potępienia hitlerizmu staje się ukazanie procesu bankructwa moralnego jednostek, żyjących tą ideologią, obraz zniszczenia człowieka. Oryginalność i odrębność w stosunku do całej naszej literatury wojennej polega na tym, że w powieści Dobraczyńskiego reżim hitlerowski niszczy przede wszystkim swoich wyznawców.

W tej naczelną koncepcję zawiera się właściwy katolicyzm książek Dobraczyńskiego — nie w przeżyciach religijnych bohaterów, które we wszystkich zwłaszcza wcześniejszych utworach odbite są z jednej kłiszy (typu: rozważania w samotnej kaplicy).

Kapitał dla tej idei zasadniczej sprawa — to oczywiście koncepcja kompozycyjna, sposób nasylenia nią wszystkich elementów utworu. I tu właśnie z uznaniem podkreślić trzeba szybkie dojrzewanie artystyczne Dobraczyńskiego, który poczynając od **Rozwalonego Domu** potrafi łączyć założenia ideowe spójnie zarówno z postaciami jak i zdarzeniami akcji. Odtąd powieści obywateli się bez autorskich komentarzy, tak częstych we wcześniejszych utworach w formie refleksji samego autora, bohaterów czy wreszcie specjalnie w tym celu spreparowanych dialogów. **Rozwalony Dom**, najlepsze opowiadania **Straszego Domu**, a także **Wybrańcy Gwiazd** — jakkolwiek są to zawsze romans à thèse, podlegają zasadzie większej wstrzemięźliwości, kontrolującej środki powieściowej komunikacji.

Właściwym środkiem komunikacji stają się teraz sytuacje i zdarzenia. Pod tym względem Dobraczyński okazuje wielką inwencję — już sam materiał fabularny, z którego powstaje akcja, jest zazwyczaj starannie przygotowany i bardzo bogaty. W każdej jego książce dzieje się tak wiele rzeczy, tak często zmieniają się sytuacje, jest tyle rozgałęzionych wątków, które aż trudno połapać. Wielotorowość ta, charakterystyczna zarówno dla **Najeżdźców** jak **Wybrańców Gwiazd**, zdaje się wiązać zasadniczo z typem powieści, właściwym Dobraczyńskiemu — powieści fabularnej, zresztą wszędzie cieszącej się wielkim powodzeniem (do tego typu należą niewątpliwie także książki jak „Przemienność z wiatrem” czy best-sellery Cronina).

Rozprzeźnienie akcji angażuje oczywiście wiele postaci — i z tym jednak daje sobie autor coraz lepiej radę, rozszerzając także zakres swoich kreacji w kierunku innych, nowych postaci (Jeremiasz czy Nabuchodonozor nie mają precedensu w poprzednich utworach). Znika też poprzednio częsty rezonans, porte-parole autora. Ujawnia się też i w stosunku do postaci spotęgowanie bezinteresownej artystycznej kontemplacji, możliwość starannego oglądu, widoczna w **Wybrańcach Gwiazd**. Psychologia postaci w pierwszej fazie twórczej Dobraczyńskiego wywodziła częste zastrzeżenia, mówiło się o papierowych, bładach kreacji, fałszywych, nieprawdopodobnych. Zarzutem tym nie dotknięto jednak ani **W Rozwalonym**

Domu, ani późniejszych książek. Wyraźnie coś się pod tym względem w twórczości Dobraczyńskiego zmieniło. Zapewne nie rodzaj wyobraźni, który chyba nie ulega zasadniczym przekształceniom, raczej zmian szukać by należało zarówno w zakresie samej techniki powieściowej, zwiększonej wstrzemięźliwości, samokontroli, a także umiejętności wytworzenia większego dystansu do materiału, większej perspektywy. Poza tym zbawienne okazało się dla postaci ogólne dążenie w kierunku większej ekonomii słowa.

Psychologizm — niewątpliwie dziedzictwo powieści francuskiej — zostaje też przycięty. Już nie analiza przeżyć bohatera, ale co raz częściej uważna relacja o nim, zwięzły dialog, obraz sytuacji czy działania, ukazany z coraz innego aspektu. Przesuwanie aspektów — to szczęśliwa, na razie jeszcze nie zbyt częsta inowacja techniczna Dobraczyńskiego, prowadząca z konieczności do ograniczenia analizy, do rezygnacji z wszechwiedzy autorskiej.

Wspomniałam już o pewnym szablonie przeżyć religijnych w bohaterach. Szablon ten chyba wolno traktować jako przezwyciężony. Pozostaje jeszcze drugi, równie przykry: szablon scen erotycznych. Erotyzm powieści Dobraczyńskiego stał się już zresztą przedmiotem walnych dyskusji, gdzie był nie cenzurowanym wespół z Gołubiewem. W dyskusji padły ciężkie określenia aż do „erotyzmu komercyjnego” włącznie! Zgodzić się jednak trzeba z zarzutem artystycznej banalności tego motywu, który jeszcze w **Wybrańcach Gwiazd** pojawia się z irytującą regularnością i często wysuwany jest na reprezentatywne miejsce — w zakończeniach rozdziałów. Jest to szablon „męskiej gwałtowności” i „kobiecej uległości”, przykładany kolejno do różnych sytuacji miłosnych. Miejmy nadzieję, że w **Świętym Mieczu** tego nie spotkamy.

Bardzo szybko zdobył sobie Dobraczyński sławę dobrego narratora niewątpliwie zupełnie zasłużoną. Ustaliła się ona zdecydowanie po **Najeżdźcach**, a utwierdziła po **Wybrańcach Gwiazd**. Istotnie Dobraczyński umie opowiadać i opisywać sytuacje, interesować. Odnajdziemy w tym dobrą tradycję literacką naszej powieści historycznej od Sienkiewicza do Zofii Kosak. Im dwojgu najwięcej autor pod tym względem zawdzięcza, może bliższy jest nawet Zofii Kosak. Te koneksje literackie tłumaczy też skłonność do scen batalistycznych, również zauważoną od razu, a obecną niemal we wszystkich utworach, gdzie była po temu okazja.

Dobra narracja to sprawa inwencji w sytuacjach i postaciach, łączenia wątków, konstrukcji scen — i naturalnie wielu innych czynników, wśród których kapitałną funkcję ma samo ukształtowanie języka. Obserwacja tych wszystkich elementów u Dobraczyńskiego pozwala stwierdzić wielką ewolucję artystyczną. Nie podejmuję dyskusji nad błędami kompozycyjnymi, które mu często zarzucano. Problem jest bardzo trudny — a zarzut powszechny i adresowany nieraz do największych spośród wielkich. Przecież powieści Tołstoja, Balzaca, Prusa, Żeromskiego uchodzą w opinii krytyki za bardzo źle zbudowane utwory!

Wymieniłam tu sprawę języka powieści. Budził on stale uwagę recenzentów i to nie ze względu na swoje zalety. Nieufność wywodziła nie tyle dialogi co opisy — nieraz banalne w swojej metaforyce, dialogom zarzucano nato-

miast zbyt dużą sentencjonalność. Wydaje się jednak, że czujność i kontrola autora wzmogła się znacznie. W swojej biblijnej powieści autor zaczął przekładać dialogi własną relacją, mową pozornie zależną (w partiach refleksyjnych), opisem, cudzą narracją. To zróżnicowanie oczywiście ożywia powieść — wiąże się zresztą ze wzbogaceniem aspektu, o którym wspominałam wyżej. Ewolucję widzieć także do prostu w składni — na miejsce długich okresów, z których trudno się wyplątać, pojawiają się coraz częściej zdania proste. Styl zyskuje tym sposobem na sile i zwartości. W **Wybrańcach Gwiazd** przeważa już zwięzła relacja, wewnętrzny opis postaci w działaniu. Jest to osiągnięcie nader szczęśliwe i odświeżające. Oczywiście, wydaje się, że pewien stopień artystycznego wykończenia stylu nie leży w ambicjach czy możliwościach autora, nie wydaje się np. aby go miała pasjonować kadencja tego czy tamtego zdania — ale już w ostatniej powieści można obserwować utrzymanie stałego rytmu zdaniowego w większych frazach.

IDEAŁ CZŁOWIEKA

Zatrzymaliśmy się trochę dłużej przy charakterystyce powieści Dobraczyńskiego, by jeszcze raz zebrać cechy najbardziej znamienne i zanotować oczywiście doskonałości artystyczne. W kierunku powieści pójdzie zapewne jego dalsza twórczość. Dramat (**Przedziwo Jolanty**) to chwilowa próba sił, przypuszczam, że do niego autor już nie wróci. Obok powieści wydaje się go nęcić — ze względu na swobodę, jaką zostawia — biografia literacka czy hagiograficzna. Autor ma za sobą kilka prac tego typu: Studia o Bernanosie czy Papiem otworzyły jego pisarstwo, z ostatnich lat pochodzą jego studia o Leonie Bloy i Nowaczyńskim. Do biografiki hagiograficznej należą trzy książeczki popularyzatorskie: o św. Andrzeju Boboli (**Mocarz**), o O. M. Kolbe (**Skąpiec Boży**).

Wracam znów do punktu wyjścia: do adresu społecznego książek

Dobraczyńskiego. Otóż niewątpliwie te popularne biografie spełniają swoje zadanie społeczne i wychowawcze właśnie dlatego, że pisane są nie przez amatora, ale zawodowego pisarza, obcującego z literaturą wysokiej klasy. W samym fakcie podjęcia takich prac popularyzatorskich jest wyraźny dowód uspołecznienia pisarza.

Artykuł niniejszy, skupiony przede wszystkim na ewolucji pisarskiej Dobraczyńskiego odsunął może na dalszy plan ideowe wartości tej pracy. Polegają one w pierwszym rzędzie na typie problematyki. Każda z jego powieści czy opowiadań ma zdecydowaną i ciekawą koncepcję ideową, stawia jakiś bynajmniej nie błahy problem: szuka sensu zdarzeń historycznych (wojny, powstania), roli dziejowej postaci (Hus, Joanna D'Arc, Jeremiasz czy Nabuchodonozor), a szukając — odtwarza rzeczywistość tej epoki. I nie same rozwiązania są tu ważne (oczywiście nie wszyscy je przyjmą), ile raczej postawienie zagadnienia w płaszczyźnie teocentrycznego humanizmu.

Poza tym wszystkim książkom Dobraczyńskiego patronuje pewien ideał etyczny, bardzo pozytywny: ideał prawdziwego bohatera, opartego na wyrzeczeniu i ofierze na rzecz społeczności, aż do wyżyn samounicestwienia (O. Kolbe, A. Bobola, Jeremiasz, bohaterowie **Rozwalonego Domu**), ideał moralnego odrodzenia, dźwignięcia z upadku (nowele **Straszego Domu**, nawet **Najeżdźcy**), ideał walki o własną czystość moralną i sprawiedliwość społeczną (**Wybrańcy Gwiazd**, **Straszny Dom**).

Książki Dobraczyńskiego są dostępne, poczytne, mają szeroki zasięg oddziaływania, interesują, wciągają czytelników w krąg ważkich problemów, wskazują pozytywne ideały, podtrzymują wiarę w człowieka. Należą do nurtu, który reprezentuje twórczość Cronina. A to chyba nurt zdrowy i społecznie wartościowy.

Irena Sławińska

Konrad Piotrowicz

ODJAZD

Gładki błękit nieba
szkarłatnej glorii dogasa
i pasmo mroku
dmie od zachodu
księżyc ustroił blaskiem
wzgórza przechodzące w doliny
i ginie wśród liści szeptania
skrzydlaty śpiew.

Zamyślony
z bólem pulsującej piersi
w żalobie nocy
pieszczony melodią drzew
odchodzę —
by świat rozumieć więcej

Rodzinny dom
Wyrosły z potu ojca i matki
kamienno, cichy dom wsi

ogród łańcuchem krzew
otacza
Tu zielone przesła traw
rozchylają się wśród
kamieni
i pszczoły wykradają kwiatu
miodem płynący pył.

U okna winogron
przysiada czasem wiatr
by szeptać, zagadać
do pajaków u szczelin
W izbie słońce mieszka
i młody blask księżyc
przenika przez kwadraty
szyb.

Tu ptaki w bruzdach
czarnoziemu
liżą wilgoć z traw
ranek u drzew zawiesza mgłę
i krzyk jaskółek przemyka
Ten dom wielbią rymem
poeci

Z TEKI STAREGO DYPLOMATY

Czy dyplomata należy do gatunku ludzi na wymarcu. Robert de Saint Jean, jeden z wybitnych publicystów francuskich jest zdania, że pewne tego objawy dają się już zauważyć? Któż bowiem nosi dzisiaj w słotny dzień białe getry i owe szerokie krawaty jedwabne, tak mozolnie przypinane dużą perłą oprawną w platynę, albo te arcydzieła białych kamizelek frakowych trzymające na uwieży lśniący gorsz szyćkowej koszuli dyplomaty.

Gdzie podział się typ opisywany przez Prousta Stendhala, Giraudou (który był przecież sam dyplomata), wykpiwany z taką lubością przez wszystkie kabarety Europy, ośmiészona figura państwowego wędrowca z białym pióropuszem na głowie.

Podobnie jak teściowa — pisze Varé, zapominalstwo profesorów i snobizm lordów, dyplomata jest stałym obiektem kabaretowych dowcipów. Lecz dyplomaci nie gniewają się o to wcale. Śmiech rodzi dobry humor i był zawsze dobrą ich bronią. Pisze był, bo teraz czasy się zmieniły. Zniknął — może chwilowo — ów tak charakterystyczny, przyjazny uśmiech na starannie wygolonej twarzy dyplomaty od którego płynęły zawsze słowa gładkie, pochlebne i giętkie. Na jednym z szesnastoczłonowych posiedzeń międzynarodowych w Paryżu przedstawiciel Francji zdumiony stanem, jaki opanował dyskusję, zwrócił uwagę na „vulgarité des débats en cours” i otrzymał na to zaraz odpowiedź, że „era komplementów i salemalejków już przeminęła. Nowa dyplomacja maszeruje bez żenady po nagiotkach swoich partnerów”.

A więc żegnajcie parafrazy, niedopowiedzenia, subtelne odcięcia półsłówek, sugestie i wszelkie sztuczki rozmów toczonych w zacisznych gabinetach ambasadorów i posłów.

Jakże odległymi wydają się czasy drugiego cesarstwa Francji, gdy ministrem spraw zagranicznych był hr. de Moustier. Otrzymał on pewnego razu podanie galernika uwolnionego właśnie z więzienia i polecił swemu sekretarzowi odpisać, kończąc list formułą najmniej uprzejmą, jaka egzystuje. Sekretarz szukał jej długo i wreszcie znalazł: „Recevez monsieur les assurances de ma parfaite considération”.

Jedna tylko właściwość pozostała na pewno niezmienną. Anglik mówi: An ambassador is an honest man who is sent abroad to lie for the good of his country. Ambasador jest to języczek uczciwy, którego wysyła się za granicę, aby tam kłamał dla dobra swego kraju.

Największy kłamca świata Talleyrand, który jednak pod koniec swego długiego żywota wyparł się niejednego ze swych licznych błędów i przewinień pisał:

„Nie, dyplomacja jest nauką postępu i dwulicowości. W układach politycznych potrzebna

jest przede wszystkim dobra wiara, bo tylko ona czyni je trwałymi i solidnymi. Nie wolno także mieszać powściągliwości z chytrością. Dobra wiara nie postuluje się nią nigdy, lecz uznaje powściągliwość, bo ona ma to w sobie, że sama budzi zaufanie”.

Talleyrand ma wiele racji w tym, co kiedyś napisał, szkoda tylko, że nie wprowadzał nigdy tych tak chwalebnych zasad w życie. Od wybieranych przez siebie ambasadorów i posłów wymagał bardzo wiele. Muszą oni — pisał — posiadać instynkt nie dopuszczający nigdy do skompromitowania się podczas dyskusji, wydawać się oswobodzonymi, pozostając nieprzeniknionymi; pełnymi rezerwy przy zachowaniu form zupełnej szczerości, powinni być także bardzo zrečni nawet w doborze własnych rozrywek. Konwersacja ich to prawdziwa kwadratura koła; równocześnie prosta, a urozmaicona, nieoczekiwana z pozorów naturalna, czasem do pewnego stopnia nawet naiwna. Inaczej dalkiem wyobrażał sobie książe Benewentu dyrektora departamentu: „Surowy, zajadły w pracy, zamknięty w swym ministerstwie jak w klasztorze”. To nie szarmancki, gadatliwy i błyskotliwy francuzik. Tylko „kat pracy”, wysiadujący po 15 godzin w biurze, zakopany w aktach i znający każdą sprawę na wylot.

Talleyrand ma słuszość. „Tacy *bourreaux de travail*” są filarami ministerstwa. Nie wymaga się od nich geniuszu, czy nawet wyjątkowej inteligencji tylko zdolności opanowania każdej sprawy, wyluskania z niej jej istotnej wagi i należytego, zwiezłego przedstawienia jej swemu szefowi.

Takim był np. Berthelot w ministerstwie spraw zagranicznych w Paryżu, von Holstein za Bismarcka w Berlinie, Markiz Fassati di Balzola w Rzymie. To byli po prostu tytani pracy, nieco zdziwaczeli w tym morzu aktów, w jakim się codziennie kąpali. Von Holstein nie chciał np. nigdy włożyć fraka i kładł się do łóżka, gdy go cesarz Wilhelm II zapraszał na obiad, Fassati mały człowieczek nie mający z armią nic wspólnego, obdarzony tylko zadzierzystem dużym wąsem, czuł się najszczęśliwszym, gdy go brano za oficera. Jeden z jego podwładnych opowiadał, że pewnego razu przyszedł wieczorem do biura i zastał tam naturalnie Fassatiego, który właśnie wychodził. Idą tedy razem, wreszcie przed sklepem z papierosami Fassati przystaje i mówi do swego urzędnika: „Może pan wejść ze mną i w rozmowie zatytułuje mnie — generałem. W sklepie Fassati kupuje papierosy, a urzędnik ogląda przez ten czas magazyn i mówi do swego szefa: Panie generale, proszę popatrzeć na te piękne widoczki. Kupiec usłyszał te słowa, wyprostował się, odprowadził Fassatiego do drzwi: „winszuję, winszuję panu generalowi”.

Gdy wyszli na ulicę wyjaśniła się dopiero sprawa. Od 20 lat kupował Fassati papierosy w tym sklepie, gdzie tytułowano go najpierw majorem, potem pułkownikiem. Nadszedł tedy czas, aby zaawansował na ge-

nerala — przy pomocy swego podwładnego.

Ministrowie spraw zagranicznych nie dbają zazwyczaj wiele o swoich urzędników. Żywią dla nich rodzaj przyjaznego lekceważenia. Zbyt uciążliwe obowiązki: reprezentacja, ciągły udział w posiedzeniach ciał ustawodawczych i stałe trzymanie ręki na pulsie polityki wewnętrznej tak wypełnia im czas, że nie znają najczęściej swego urzędu, a często — co zdarzało się niestety i u nas — podpisują referaty, instrukcje i informacje nie czytając nawet ich treści.

Markiz Imperiali, długoletni ambasador włoski w Londynie, opowiadał, że gdy miał objąć to stanowisko sam Giuliano takie dał mu pouczenie: Otrzyma pan od czasu do czasu obszerne elaboraty w sprawach kolonialnych z dokładnymi wskazówkami, co Pan ma uczynić. Pisma te będą zaopatrzone moim podpisem.

Może je pan śmiało złożyć ad acta. W departamencie dla spraw kolonialnych pracują doskonali urzędnicy, którzy wiedzą więcej o koloniach aniżeli ja, ale nie mają pojęcia o polityce. Ja zaś nie mam czasu na ich naukę. Ufam tylko, że moi ambasadorzy mają tyle zdrowego rozumu, że będą się nim kierowali przy załatwianiu tych spraw bez względu na to, co pisze ministerstwo. Jeżeli jego instrukcje są rozsądne, należy je wypełniać, jeżeli zbyt głupie, proszę donieść mi o tym listem prywatnym...

Posel włoski Daniele Varé opowiada w swych bardzo zajmujących pamiętnikach, że galopował raz w Villa Borghese i koń jego spłoszył się jakimś dużym arkuszem papieru toczonym przez wiatr po torze. Varé wstrzymał konia i stwierdził, że był to „ściśle tajny” raport ambasadora włoskiego w Wiedniu Avarny. Dojrzał też w pobliskiej mleczarni siedzącego przy śniadaniu przywieziono mu pocztę. Varé odniósł mu porwany wiatrem raport i zauważył: Ekscelencjo, to jest akt „ściśle tajny”.

„Dobrze, dobrze — rzekł mrukiwie minister — oni wszyscy oznaczają w ten sposób swoje raporty, ale to coś podpisane „najściślej poufne”, czytałem już dzień przed tym w dziennikach”.

Ach. To były dawne, bezpowrotnie minione już czasy. Ale mimo wszystkie swe śmieszności pozostały pewien zasób doświadczeń zdobytych w trudzie i zasad, które warto czasem wylouić z własnych wspomnień, czy żółknących już kart pamiętników. Oto kilka z nich:

Zacznijmy od Napoleona, który swemu ambasadorowi jadącemu do Warszawy dał jedno tylko polecenie: „Tenes bonne table et soigner les femmes”.

Minęło już półtora wieku od owej rozmowy. Ale czy ona i w wielu wypadkach nie byłaby i dzisiaj aktualna.

Jakim powinien być dyplomata. To pytanie zadaje sobie długoletni poseł włoski na Dalekim Wschodzie, Daniele Varé i notuje w swych pamiętnikach różne na ten temat uwagi.

„Większość ludzi sądzi, że najważniejszą zaletą dyplomaty jest jego bystry rozum. Często też zarzuca mu się brak tegoż. Ale nie wolno zapominać o takich właściwościach jak poczucie osobistej godności, cierpliwość, dyskrecja, powściągliwość w wypowiedaniu się itp. Dyplomata wierzący w swą intelektualną wyższość popełni łatwo błędy, których uniknąłby z pewnością, kierując się zdrowym sensem życia”.

Wielką wadą dyplomaty jest oglądanie sytuacji i stosunków państwa, w którym jest akredytowany przez okulary swego ministra. Jego raporty nie będą wówczas prawdziwe, a wydatniające i naświetlające tylko słabości i błędy lub zalety i siłę danego państwa, mogą mieć następstwa szkodliwe lub wprost katastrofalne.

„Dobrze jest — pisze m. in. Varé — jeżeli dyplomata jest z natury przebiegły. Lecz nie ma nic gorszego jak silić się na chytrych. Traci się zarówno zaufanie partnera i czas na próżno. Już Choiseuls powiedział: „La véritable finesse est la verité dite quelquefois avec force et toujours avec grace”.

Ideal dyplomaty powinien łączyć inteligencję z całym arsenałem *savoir-vivre* nie wolno mu zapominać o tym, że świat w którym przebywa sądzi jego kraj według jego zachowania się. W dzisiejszych czasach łatwo jest wydać wspaniałe bankiet, zamawiając go na mieście wraz z *maitre d'hotel*em i służbą. Ale najwykwintniejsze potrawy nie zastąpią umiejętności zręcznego dobierania zaproszonych, prowadzenia konwersacji i dbania o to, aby wszyscy czuli się zadowoleni.

Dyplomata powinien zawsze mieć bodaj najogólniejsze pojęcie o osobie z którą rozmawia. Jeżeli zaprasza ludzi nieznanymi musi zasięgnąć o nich informacji: jakich są przekonani politycznych, w jakim obracają się środowisku, jakie są ich stosunki rodzinne. Bo tylko wówczas unika się niemiłych gaff. Pewnemu posłowi zdarzyło się przy obiedzie, na którym jakiś starszy pan długo i rozwlekle dziękował państwu domu za ich gościnność, że znudzony jego czczą i pustą gadaniną, odezwał się do swej sąsiadki:

Ach, jakież to nudziarz ten staruszek. Powtarza w kółko to samo. I usłyszał odpowiedź gniewną: C'est mon papa, Monsieur.

Na zebrania międzynarodowe, a szczególnie układy należy wysyłać takich ludzi, którzy poznali już poprzednio swoich partnerów — on sait sur quel pied danser.

Ci zaś, którzy mają przy zielonym stole o coś walczyć niech nie zapominają o tym, że można czasem wygrać, gdy się jest gotowym zrezygnować z chwilowego triumfu”.

Nie ulega wątpliwości — pisze Varé — że w polityce zagranicznej należy unikać przemożnych zwycięstw i nimi się przechwalać. Po ukończeniu układów rozsądny dyplomata powinien wywoływać wrażenie, że nie uzyskał tego, co chciał. Przygotowuje sobie w ten sposób drogę do nowego i większego

złych żądań, a nie pozostawia pokonanego przeciwnika w poczuciu gorzkiej porażki.

Mądrość i siła leżą w umiarowaniu. „Odnosi się to przede wszystkim do propagandy”. Gdy się jej nadużywa, stwierdza się po tym, że nic tak łatwo nie zawodzi, jak rozdmuchane powodzenie”.

Postęp i wiedza dają dyplomacji nowe możliwości wpływania na opinię publiczną „może więc postugiwać się tymi nowymi sposobami”. Lecz jej istota pozostała od wieków ta sama. Sztuka jej jest nieśmiertelnym jarmarkiem chłopa, który na jarmarku sprzedaje i kupuje swój towar”.

„Polityczni amatorzy ulegają jeszcze ciągle złudzeniu, że świat odniesie duże korzyści, gdy wszelkie układy i rozmowy dyplomatyczne będą jawne, a nie ukrywane przed opinią publiczną. Lecz przypomnijmy sobie co powiedział Bismarck. Jeżeli kupuje się konia, to łatwo wykrzykiwać głośno najwyższą cenę, jaką chce się za niego zapłacić. Tak samo nie mówi się od razu najniższej ceny, którą mogłoby się za tego konia przyjąć”.

Sądzi się powszechnie, że trudności służby dyplomatycznej tkwią w stosunkach z zagranicznymi rządami. Nieprawda. Dyplomacie największy kłopot sprawia rząd własny. Varé powtarza słowa ks. Avarny, ambasadora włoskiego w Wiedniu, że Bollhausplatz (siedziba austro-węg. MSZ) wymaga o wiele mniej zdolności dyplomatycznych, co Palazzo Chigi (siedziba włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych).

Służba dyplomatyczna wymaga niezwyklej dokładności i sumiennosci pracy. Każde słowo przez nią użyte, czy wypowiedziane ma swoją wagę. Nie dość precyzyjne tłumaczenia obowiązujących tekstów mogą zawieść zarzewia przyszłych konfliktów i wojen. Po pierwszej wojnie abisyńsko-włoskiej, zawarto w Ucciali w 1895 r., układ w dwu równo uprawnionych językach. Według tekstu włoskiego Abisynia musiała utrzymać swe stosunki zagraniczne za pośrednictwem Włoch, a w tekście abisyńskim mogła. Pierwsze wyrażenie stwierdzało protektorat Włoch nad Abisynią, drugie niepodległość. I ten brak należytej kontroli obu tekstów był przyczyną późniejszej wojny.

Wydażność pracy dyplomaty zależy nie tylko od tego, co czyni, ale także od tego, kim sam jest. Autorytet nie jest działalnoscia tylko oddziaływaniem. „Podobnie jak kula armatnia, tak dyplomata dochodzi najdalej, który jest najgładszy”.

„Ucz się brać wszystko ze spokojem — radzi Varé”. Nie byłbyś naturalnie człowiekiem, gdyby faryzeuszostwo polityki nie doprowadzało cię czasem do wściekłości, lecz nie daj się jej opanować, bo to byłoby Twoją klęską”.

„Jeżeli losy jakiegos państwa są zagrożone, powinny w pis-mach ilustrowanych ukazywać się fotografie jego umięchniętych przedstawicieli, rozmawiających beztronsko z pięknymi kobietami. Kapitana okrętu pa-

Dokończenie na str. 10

1) Większość cytat pochodzi z „Manuale del perfetto Diplomatico” Daniela Vares, Rzym, Messaggero.

ABELARD

Abelard i Heloiza, to postacie historyczne.

Piotr Abelard (1079—1142), teolog i filozof scholastyczny, pochodził z bogatej szlacheckiej rodziny bretońskiej i osiągnął najwyższe dostojenie akademickie średniowiecznej Francji — katedrę logiki na uniwersytecie paryskim oraz stanowisko kanonika katedry Notre Dame.

Student z całej Europy cisnęli się, aby słuchać jego wspaniałych, choć niezbyt ortodoksyjnych wykładów. W ramach filozofii scholastycznej był on twórcą kierunku zwanego konceptualizmem, zwalczanego przez nominalistów, a szczególnie ostro przez realistów, za którym stał autorytet Kościoła. Sw. Bernard zwalczał zaciekle Abelarda, który doczekał się aż dwukrotnego potępienia swych poglądów, na soborach w Soisson (1121) i Sens (1140).

Heloiza o 22 lata młodsza od Abelarda, kuzynka prałata paryskiego Fulberta, po dramatycznych przejściach miłosnych została przełożoną klasztoru w Paraclet i zmarła otoczona honorami hierarchii kościelnej, a nawet samych papieży.

Ale nie zawdzięczają swej sławy, Abelard — koncepcjom filozoficznym, Heloiza — świętobliwemu życiu przełożonej klasztoru. Uniesmiertelnili ich dramat miłosny i sławna korespondencja zakochanych. A było to tak: dziewiętnastoletnia Heloiza przybyła ze szkoły klasztornej do swego wuja Fulberta do Paryża, znęcona sławą Abelarda. Abelard, który słyszał o jej dużych zdolnościach i urodzie, został jej nauczycielem filozofii. Tak zaczęła się ich miłość. W swym słynnym liście do Philintusa, znanym pt. „Historia nieszczęść”, Abelard zwierza się przyjacielowi z radości i smutków, które zrodziła jego miłość do Heloizy. „Daremnie starać się miłości unikać! Byłem filozofem, a przecież ta tyranka umysłu zatruwała nad moją wiedzą, posiki jej były silniejsze niż wszystkie moje rozumowania i używając słodkiego przymusu, zaprowadziła mnie dokąd chciała... Wdzięk i piękność Heloizy poruszyły najobojętniejsze, najbardziej niewrażliwe serce, a jej wykształcenie jest równie pełne podziwu... Zobaczyłem ją, pokochałem i postanowiłem skłonić, by mnie pokochała... Myślałem tylko o Heloizie, wszystko przywołało mi na pamięć jej obraz... już kołysałem najpiękniejszą nadzieję... Moja sława dotarła wszędzie, czyż więc mogła cnotliwa dama oprzeć się człowiekowi, który wprawiał w zakłopotanie wszystkich współczesnych uczonych? Byłem młody, moja powierzchowność była dostatecznie ujmująca, zaś po ubiorze, nikt nie mógłby domyśleć się we mnie doktora, a ubiór jak wiesz, nie jest sprawą mało ważną dla kobiet... Zobaczyłem Heloizę, przemówiłem do niej... ten sam dom, ta sama miłość zjednoczyły nasze pragnienia i osoby. Ileż czułych chwil spędziliśmy razem!”

Ale — jak Abelard wyznaje dalej w swym liście — miłość ich nie mogła pozostawać długo w tajemnicy. Namietność uleciała z jego wykładów do miłości. Nie mógł skupić się nad zdanym utworem, za wyjątkiem wierszy do ukochanej. Według własnych słów „porzucił Arystotelesa i jego suche zasady, by postępować podług zaleceń najgenialniejszego Owidiusza”. Kochankowie na całym świecie pozostają pod urokiem tych pieśni. Cały Paryż wiedział o ich przywiązaniu. Jedynie niezorientowanym pozostał wuj Fulbert. Wreszcie jednak i on także przejrzał i oburzony wydalil Abelarda z domu. „Było niemożliwym — pisał Abelard — bym mógł żyć bez widoku Heloizy”, przeto potajemnie widywał się z nią nadal.

Uciekli do Wielkiej Brytanii. Tam urodził się ich syn. Abelard ustawicznie nalegał, by Heloiza go poślubiła. Ona odmawiała uczynienia tego, bojąc się, że w ten sposób kochanek zniszczyłby swoją karierę. Żeby odwieść go od tego postanowienia używała wszelkich argumentów, których dostarczała jej wspaniała umysłowość.

Ale wreszcie Abelard zwyciężył i wrócili razem do Paryża, spodziewając się utrzymać swe małżeństwo w tajemnicy. Lecz Fulbert usłyszał o nim i zemścił się na Abelardzie. Za jego podżeganiem banda łotrów wtargnęła pewnej nocy do domu Abelarda, napadła nań i haniebnie okaleczyła. Ze wstydem i rozpaczą Abelard uciekł z Paryża. Na jego nalegania Heloiza wstąpiła do zakonu. Następnie została przełożoną swego klasztoru. Abelard, szczerzy i ściągany przez nieprzyjaciół, potępiony za rozpustne i rozwiązłe życie przez mnichów, wędrował od klasztoru do klasztoru, szukając na próżno spokoju duszy i ciała. Jednak i wtedy pisał: „Nie zatriumfowałem nad tą nieszczęsną namietnością. W mym osamotnieniu wzdycham, płaczę, tęsknię, wymawiam drogie imię Heloizy i upajam się jego dźwiękiem”.

Pisanie listów do Heloizy było jedyną ziemską pociechą nieszczęsnego grzesznika. Dwa przedrukowane poniżej (z nieznacznymi opuszczeniami) wybrane są z anonimowego przekładu wydanego w Londynie w r. 1722.

Kwestionowano często autentyczność tych listów, lecz poddawano się szczególnemu urokowi tej niezwykle mieszaniny pobożności, scholastycznej pedanterii i pasji miłosnej. Opowiadają one o jednej z najbardziej wzruszających tragedii wszystkich czasów opiewanej w ciągu stuleci przez dramaturgów i poetów.

Długo spierano się o tekst i interpretację tych listów. Niektóre wydawnictwa ogłaszają 5, inne 6, jeszcze inne 8 listów, jako całość korespondencji Abelarda i Heloizy. Niektórzy badacze twierdzą, że pierwszy list tzw. „Historia nieszczęść Abelarda” pisany do jego przyjaciela Philintusa, który jest powodem całej następnej korespondencji, został podrobiony przez Jean de Meunga, jednego z autorów „Romansu Róży”.

W tradycyjnym cyklu tej korespondencji, po wstępnym liście Abelarda do przyjaciela, następuje pierwszy list Heloizy do Abelarda.

Heloiza do Abelarda

„Choć zakwefioną — spójrz, w jaką rozterkę mnie pogrążyłeś”.

(Heloiza do Abelarda)

Twój pocieszający list do przyjaciela wpadł przypadkiem kilka dni temu w moje ręce; znajome, umiłowane pismo napełniło mnie ciekawością, otworzyłam. Aby usprawiedliwić tę samowolę, pochlebiam sobie, że mogę żądać przywileju wszzechwładzy w stosunku do wszystkich, co pochodzi od Ciebie. Bez skrupułów przełamuję zasady dobrego wychowania, kiedy mogłam otrzymać wiadomo-

ści o Abelardzie. Ale jak drogo kosztowała mnie moja ciekawość! Ileż niepokojów spowodowała i z jakimż zdziwieniem znalazłam cały list wypełniony szczegółowym i pełnym smutku opowiadaniem o naszych nieszczęściach. Spotkałam moje imię sto razy; nigdy nie ogłądałam go bez obawy — jakieś srogię nieszczęście podążało zawsze w ślad za nim. Zobaczyłam także twoje imię — również nieszczęsne.

Te żalonne, choć drogie wspomnienia wywołały w moim sercu tak gwałtowne wzruszenie, że pomyślałam, iż było to zbyt wiele

pocieszać przyjaciela z powodu kilku nieznaczących niepowodzeń w tak niezwykły sposób, jak przed stawiając nasze cierpienia i niepokoje. Jakież myśli nie przychodziły mi do głowy! Zaczęłam rozważać wszystko na nowo i uczułam ten sam przytłaczający ciężar smutku, jak wówczas, gdy po raz pierwszy poczułszy się nieszczęśliwym. Chociaż czas powinien był zasklepić moje rany, przecież, gdy ujrzałam je opisane przez Ciebie, wystarczyło to, by się otworzyły i krwawiły na nowo.

Łzy, których nie mogłam powstrzymać, zmoczyły Twój list. Pragnęłabym, aby zamoczyły cały i aby wrócił do Ciebie w tym stanie, bo byłabym wówczas zadowolona przez tę krótką chwilę, w której bym go przetrzymała, ale zażądano go ode mnie zbyt szybko.

Muszę przyznać, że było mi źle, nim go przeczytałam. Prawdą jest, że wszystkie nieszczęścia kochanków w widzeniu biorą swój początek. Czytając Twój list uczułam, jak wszystkie me strapienia powracają. Robiłam sobie sama wymówki, że tak długo nie dawałam upustu troskom, podczas gdy wściekłość naszych nieubliżanych wrogów jeszcze płonie z tą samą gwałtownością. Ponieważ wpływ czasu, który uśmierza najsroższe nienawiści, wydaje się je w tym wypadku tylko powiększać: ponieważ jest postanowione, że Twoje dobre imię będzie przesładowane, dopóki nie znajdzie schronienia w grobie i że nawet wtedy, być może, nie będzie dozwolone pozostawać Twoim popiołem w spokoju, niech przeto zawsze rozważam Twoje nieszczęścia, niech rozgłaszam je na cały świat, jeśli to możliwe, by zawstydić epokę, która nie potrafiła Cię ocenić.

Daruj mi wierne sprawozdanie ze wszystkiego, co dotyczy Ciebie, chociażbym wiedzieć o wszystkim, choćby zawsze tylko o nieszczęściach. Może, mieszając moje westchnienia z Twoimi, mogłabym zmniejszyć Twe cierpienia, ponieważ mówią, że wszystkie troski podzielone stają się lżejsze.

Nie podawaj jako wymówki, że chcesz mi oszczędzić łez. Łzy kobiet, zamkniętych w smutnym zacisku wylewane jako pokuta, nie powinny być oszczędzane.

A jeśli czekasz na sposobność, żeby pisać o rzeczach dla nas miłych i przyjemnych zbyt długo odkładałbyś pisanie. Pomyślność rzadko kiedy sprzyja cnotliwym, a los jest tak ślepy, że w tłumie, w którym znajduje się tylko jeden mądry i dzielny człowiek, nie należy oczekiwać, że jego właśnie wybierze. Pisz przeto do mnie bezwzględnie i nie oczekuj cudów, zdarzają się zbyt rzadko, a my jesteśmy zbyt przyzwyczajeni do nieszczęść, aby oczekiwać pomyslniej przemiany. Zawsze będzie to dla mnie pociechą, zależną tylko od ciebie, że kiedy otrzymam Twój list, będę wiedziała, że jeszcze pamiętasz o mnie...

Mam Twój portret w swym pokoju; nigdy nie przejdę, aby nie zatrzymać się i nie popatrzeć nań; a przecież, kiedy Jesteś razem ze mną, rzadko kiedy rzuca na niego okiem. Jeśli portret, który jest tylko niemy wyobrażeniem przedmiotu, może dawać tyle przyjemności, czemuż nie potrafią natchnąć listy? Listy mają duszę, listy mówią, zawierają w sobie tę samą siłę, która wyraża uniesienia serca, płoną ogniem naszych namiętności, potrafią wywoływać je tak, jakby same osoby były obec-

ne, mają czułość i delikatność mowy, a czasem nawet śmieiej od niej przemawiają.

Możemy pisać jedno do drugiego; tak niewinna przyjemność nie jest nam odmówiona. Nie traćmy przez zaniedbanie jedynej pozostałej nam szczęśliwości i być może jedynej, której złośliwość wrogów nigdy nam nie odbierze. Będę czytać, że Jesteś moim mężem, a Ty zobaczysz, że podpisuję się jako Twoja żona. Mimo wszystkich naszych nieszczęść, możesz być w swych listach, jakim chcesz. Listy zostały wynalezione po to, aby pocieszyć takich samotnych nieszczęśliwych, jak ja. Straciwszy istotne przyjemności widzenia i posiadania Ciebie, zrównoważę w pewnej mierze tę stratę zadowoleniem, jakie znajduję w czytaniu Twoich pism. Tu będę czytać Twoje najtajniejsze myśli, będę je wiązać zawsze z sobą, będę całować je w każdej chwili. Jeżeli Jesteś zdolny do zazdrości, możesz nim być z powodu czułych pieszczot, którymi będę obdarzać Twe listy; zazdrość jedynie tym szczęśliwym rywalom.

Aby pisanie nie było dla Ciebie kłopotliwe, pisz do mnie zawsze po prostu, bez przygotowania. Niech raczej czytam dyktando serca niż mózgu. Nie mogę żyć, jeżeli nie będziesz mi mówić, że jeszcze mnie kochasz, ale ten język powinien być dla Ciebie tak naturalny, że wierzę, iż nie umiesz do mnie inaczej przemawiać bez zadawania gwałtu samemu sobie. A przecież przez tę smutną opowieść do Twojego przyjaciela, obudziłeś wszystkie moje troski, jest jedynie słusznym, byś uśmierzył je dowodami Twojej niezmiennej miłości...

Nie możesz nie pamiętać (bo zakochani nie mogą zapominać), że ja ką przyjemnością spędzałam całe dnie, słuchając Twojej mowy. Jak, gdy Ciebie nie było zamykałam się przed wszystkimi, by pisać do ciebie, jak byłam niespokojną, dopóki mój list nie doszedł do Twoich rąk. Ileż zrzęzości wymagało znalezienie posłańców. Te szczegóły, być może, dziwią Cię i niepokoisz się, co po nich nastąpi. Ale już się nie wstydzę, że moja namietność nie zna przed Tobą granic, ponieważ zrobiłam jeszcze więcej. Znienawidziłam samą siebie za to, że mogłam Cię pokochać. Przybyłam tu zniszczyć siebie, abym mogła uczynić Twe życie wygodnym i łatwym. Jedyne cnota w połączeniu z miłością, wyzbyte całkowicie zmysłowości, mogła stworzyć takie wyniki. Występek nigdy nie natchnie do czegoś podobnego: jest za bardzo niewolnikiem ciała. Kiedy kochamy przyjemności, kochamy żywych, nie umarłych. Przeszajemy płoną żądaniem w stosunku do tych, którzy nie mogą dłużej płonąć dla nas. Takie było przeświadczenie mojego okrutnego wuja; mierzył mą cnotę kruchością mojej płci i myślał, że kocham mężczyznę, nie człowieka. Ale jego przestępczość nie osiągnęła celu. Kocham Cię więcej, niż kiedykolwiek i tak mszczę się na nim. Będę Cię kochać z całej duszy aż do ostatniej chwili mego życia. Jeżeli przedtem moje uczucie do Ciebie nie było tak czyste, jeżeli wówczas kochałam cię zarówno duszą i ciałem, nawet wtedy często ci powtarzałam, że więcej się cieszę z posiadania twojego serca, niż z jakiegokolwiek innej szczęśliwości, a miłość była cicha, którą najmniej ceniłam w tobie.

Musiła Cię o tym całkowicie przekonać moja niechęć, którą o-

kazywałam przeciw poślubieniu Ciebie, chociaż wiedziałam, że imię żony jest poważane w świecie i uświęcone w religii; przecież imię Twojej kochanki posiadało dla mnie większy urok, ponieważ łączyło się z większą swobodą. Więzy małżeńskie, chociaż czcigodne, przecież niosą z sobą konieczne zobowiązania, a ja nie chciałam być zmuszoną kochać zawsze człowieka, który być może nie zawsze bymnie kochał. Gardziłam imieniem żony, abym mogła żyć szczęśliwie jako kochanka; i znajduję w Twym liście do przyjaciela, że nie zapomniałeś tej delikatności uczuć, którą zawsze kochałeś z największą tkliwością, a przecież pragnęłam, aby cię kochał jeszcze więcej.

Bardzo słusznie zauważyłeś w swoim liście, że uważałam za nużące te publiczne zobowiązania, które mogły być rozwiązane tylko przez śmierć i które przedstawiają życie i miłość jako tę samą smutną konieczność. Ale nie dodałeś, jak często protestowałam, że nie skończenie bardziej wolę żyć z Abelardem jako jego kochanką, niż z innym jako Cesarzowa Świata. Byłam bardziej szczęśliwa, ulegając Ci, niż gdybym była prawną małżonką króla ziemi. Bogactwa i przepych nie są wdziękiem miłości. Prawdziwa tkliwość każe nam oddzielać od istoty ukochane go jego zewnętrzne właściwości; nie zważając na jego stanowisko, majątek, czy zajęcia, widzi w nim tylko jego samego...

To nie miłość, ale pragnienie bogactwa i stanowiska rzuca kobietę w ramiona gnuśnego męża. Ambicja, a nie uczucie kojarzy takie małżeństwa. Wierzę, oczywiście, że mogą one przynosić pewne zaszczyty i korzyści, ale nigdy nie pomyślę, że to jest droga do doświadczenia rozkoszy kochającego związku oraz odczuwania tych subtelnych i czarujących radości, gdy serca długo rozdzielone, łączą się nareszcie. Ci męczennicy małżeństwa smucą się zawsze z powodu wielkich majątków, które myślą, że stracili. Żona widzi mężów bogatszych niż jej własny, a mąż żony, posażniejszego od swojej. Te kupieckie ślubowania rodzą żal, a żal rodzi nienawiść. Wkrótce rozchodzą się, a przynajmniej pragną to uczynić. Niespokojna i dręcząca namietność złota karze ich za poszukiwanie przez miłość innych korzyści, niż ona sama.

Jeśli istnieje coś, co może być właściwie nazwane szczęściem tu, na ziemi, to jestem przekonana, że jest to związek dwóch osób, kochających się w wzajem z doskonałą swobodą, połączonych tajemną skłonnością i zadowolonych z wzajemnych zalet. Ich serca są spełnione i nie pozostawiają miejsca na żadne inne uczucie: cieszą się ustawicznym spokojem, ponieważ cieszą się zadowoleniem...

Ileż rywalek przysporzyło mi Twoje takie właśnie rycerskie postępowanie! Jak wiele dąm rościło sobie do niego prawa? Była to danina ich miłości własnej, płacona ich pięknością. Ileż ich widziałam, jak wdychając, oświadczały swe uczucia dla Ciebie, kiedy po kilku zwykłych wizytach, jakie im złożyłeś, zdarzyło im się słyszeć komplementy jako Sylwii z twych poematów. Inne wynawiały mi z zazdrością i rozpaczą, że nie mam wdzięków, za wyjątkiem tych, które mi udzielił Twój talent i że nie przewyższam ich w niczym, poza tym, że jestem ukochaną przez Ciebie. Czy możesz miu wierzyć, jeśli ci powiem, że pomimo mej płci, czułam się szczególnie szczęśliwa,

HELOIZA

mając kochankę, któremu zawdzięczałam swój urok i znajdowałam w tym potajemną przyjemność, że jestem podziwiana przez męża, który, jeśli zechce, może podnieść swą ukochaną do rzędu bóstw. Ciesząc się jedynie twą sławą, czytałam z rozkoszą te wszystkie pochwały, które mi ofiarowywałeś i niezastanawiając się, jak mało na nie zasługiwałam, wierzyłam, że jestem taką, jakąś opiszywałeś abym mogła być bardziej pewną, że Ci się podobam.

Lecz gdzie są te szczęśliwe czasy? Óplakuję teraz mego umiłowanego i ze wszystkich radości pozostało mi tylko bolesne wspomnienie o tym, co przeminęło. Powiadam teraz wszystkie moje rywalki które kiedyś patrzyły na moje szczęście zawistnymi oczami, że ten, którego mi ongiś zazdrościły, nigdy już nie może być moim. Kochałam go, moja miłość była jego zbrodnią i przyczyną jego kary. Moja piękność kiedyś go zachwycała; ciesząc się jedno drugim spędzaliśmy nasze najjaśniejsze dni w spokoju i szczęściu. Jeżeli to było zbrodnią, to jest i to zbrodnią, że jeszcze jestem przywiązana do Ciebie i że niczego nie żałuję za wyjątkiem tego, że wbrew mej woli muszę być teraz niewinna.

Ale co ja mówię? Moim nieszczęściem było, że miałam okrutnych krewnych, których złościwość zniszczyła spokój, jakim się cieszyliśmy, gdyby oni byli rozsądni, byłabym teraz cieszyła się szczęściem mego drogiego męża. Och! Jakżeż byli okrutni, gdy ich zaslepiona wściekłość nalegała na łotrą, by cię zaskoczył podczas snu? Gdzież ja byłam wtedy — gdzie była wtedy twoja Heloiza? Z jaką radością broniłabym mego ukochanego; uchroniłabym cię od przemocy za cenę mego życia. Och! dokąd zaprowadzi mnie ten nadmiar namiętności? Tutaj miłość jest wstrząśnięta, a skromność pozbawia mnie słów.

Ale powiedz mi, skąd pochodzi, że zaniedbałeś mnie, odkąd wstąpiłam do zakonu? Wiesz, że nic innego poza Twoją hańbą nie nakłoniło mnie do tego i że nie ja wyrzuciłam swą zgodę, ale Ty to uczyniłeś. Powiedz mi, co jest przyczyną Twojej oziębłości, albo pozwól mi chociaż wyrazić moje mniemanie. Czyżby tylko myśl o przyjemności łączyła cię ze mną? I czyżby moja czułość, nie pozostała Ci nic do pożądanego, wygasła twoje pragnienia?

Nieszczęsna Heloizo — mogłaś się podobać, kiedy pragnęłaś uniknąć tego, zasługiwałaś na pożar uczuć, kiedy mogłaś oddać rękę, która go ofiarowywała; ale odkąd twoje serce zmiękło i ustąpiłaś, od kąd poświęciłaś się i uczyniłaś ofiarę z siebie, jesteś opuszczona i zapomniana.

Smutne doświadczenie przekonało mnie, że jest naturalnym, uniknąć tych, którym zbyt wiele zawdzięczamy i że niezwykła szlachetność powoduje raczej lekceważenie, niż wdzięczność. Moje serce poddało się zbyt szybko, by mogło uzyskać szacunek zwycięzcy; wzięłam się bez trudu i odrzuciłam łatwo. Ale, choć jesteś niewdzięczny, nie przywiązuję do tego wagi i chociaż nie powinnam już niczego sobie życzyć, przecież jeszcze dotychczas pragnę potajemnie być kochaną przez ciebie.

Kiedy wypowiadałam me smutne śluby, miałam wówczas przy sobie Twoje ostatnie listy, w których zapewniałeś mnie o swym całkowitym oddaniu i o swej do-

zgonnej miłości. Tobie przeto się ofiarowałam; Ty posiadałeś moje serce, a ja Twoje, nie żądaj nic z powrotem. Musisz znieść moją namiętność, jako z prawa ci należną i od której w żaden sposób nie możesz się uwolnić.

Niestety! Cóż za szaleństwo mówić w ten sposób! Wszak widzę tu tąd tylko bóstwo, a mówię tylko o człowieku! Ty jesteś tego okrutną przyczyną, niewierniku! Jak mogłeś od razu przestać mnie kochać? Dlaczego raczej nie oszukiwałeś mnie przez chwilę, zamiast bezwzględnie mnie opuścić? Gdybyś mi dał chociaż jakieś słabe do wody zamierającego uczucia, błogosławiłabym złudzenie. Ale na próżno śmiem myśleć, że mogłeś być stałym; nie pozostawiłeś ani śladu usprawiedliwienia. Pragnę gorąco zobaczyć Cię, ale jeżeli to jest niemożliwe, zadowolnię się kilkoma wierszami, skreślonymi twą ręką.

Czyż tak trudno jest napisać temu, który kocha? Nie proszę o żaden z twych listów, pełnych wiedzy i pisanych dla rozgłosu; wszystko, czego pragnę, to są takie listy, które serce dyktuje i którym ręka nie może nadążyć. Jak mogłeś ludzi się nadzieją, że będziesz całkowicie moim, gdy przywdzieję welon zakonny i zobowiązę się żyć zawsze wedle twoich praw? Ponieważ, wstępując do zakonu, nie przysięgałam nic więcej ponad to, że będę zawsze Twoją i zgodziłam się na uwięzienie, którego sobie życzyłeś ode mnie. Śmierć tedy jedynie może mnie skłonić do opuszczenia klasztoru, w którym mnie umieściłeś; wtedy moje popioły pozostaną tam i będą czekać na Twoje, aby świadczyć przed Tobą do ostatka o moim posłuszeństwie i przywiązaniu do Ciebie.

Dlaczego mam ukrywać przed Tobą tajemnicę mego powołania? Wiesz, że ani żarliwość, ani pobożność nie przyprowadziła mnie tutaj. Twoje sumienie jest zbyt wernym świadkiem, by pozwolić ci za przeć się tego. Przecież jestem tutaj i tutaj pozostanę, na to miejsce skazała mnie moja nieszczęsna miłość i okrutny krewny. Ale, jeżeli przestaniesz się mną interesować, jeżeli stracę Twoje uczucie, co zyskam przez swe uwięzienie? Jakież rekompensaty mogę się wzajemnie spodziewać? Nieszczęsne następstwa naszej miłości i twej hańby skłoniły mnie do przywdziania szaty czystości, ale nie do pokuty za przeszłość. Tak walczę i trudzę się na próżno. Wśród tych, które są poślubione Bogu, ja jestem poślubiona człowiekowi, wśród bohaterskich podpór Krzyża, jestem niewolnicą ludzkiego pragnienia, jako przewodnicząca religijnej społeczności, jestem odana jedynie Abelardowi.

Jakimż jestem potworem! Oświeć mnie, o Panie, ponieważ nie wiem, czy to nie wątpienie w Twą łaskę wydarło mi te słowa! Jestem, wyznaję, grzesznica, ale taką, która daleka od obłakowania swych grzechów, oplakuje tylko swego kochanka, daleka od brzydzenia się swymi zbrodniami, pragnie tylko dodać do nich nowe, która ze słabością, niestosowną dla jej stanu, pieści się ustawicznie przypominaniem minionych rozkoszy, gdy niemożliwe jest je odnawiać.

Dobry Boże! Po cóż to wszystko? Wymawiam sobie sama własne błędy, oskarżam Cię o twoje i w jakim celu? Chociaż zakwefiona, spójrz, w jaką rozterkę mnie porzążyłeś! Jak ciężko jest walczyć o powinność wbrew skłonności. Je-

stem świadoma zobowiązań, jakie ten welon nakłada na mnie, ale czuję silniej, jaką władzę dawna namiętność ma nad moim sercem...

O zlituj się, pomóż nieszczęsnej wyrzec się jej pragnień, jej osobowości i jeśli to możliwe pomóż jej zapomnieć o tobie! Jeśli jesteś kochankiem-ojcem, pomóż kochance, pociesz dziecko! Te czułe imiona muszą cię z pewnością wzruszyć; ustąp litości, czy miłości. Jeśli zaspokoisz mą prośbę, będę w dalszym ciągu nabożną, bez profanowania dłużej mego powołania.

Jestem gotowa ukorzyć się wraz z Tobą przed cudowną dobrocią Boga, który czyni wszystko dla naszego uświęcenia, który swą łaską oczyszcza wszystko, co jest występne i zepsute i przez wielkie bogactwa swego miłosierdzia ratuje nas wbrew naszej woli i stopniowo otwiera nasze oczy na swą szczodroblowość, której początkowo nie możemy dostrzec...

„...Zamierzam teraz oszuznić te łzy...”

Gdybym mógł przypuszczać, że listy, pisane nie do Ciebie, wpadnie w Twoje ręce, byłbym ostrożniejszy i nie zamieszczębałbym w nim nic z tego, co mogło obudzić wspomnienia naszych minionych nieszczęść. Ośmieliłem się opisać przyjacielowi wszystkie swe smrotne niepowodzenia, aby uczynić mu lżejszą stratę, którą poniósł.

Jeśli ten pomysł, powzięty w najlepszej intencji, stał się przyczyną Twoich niepokojów, zanierzam teraz oszuznić te łzy, które wylałaś z powodu smutnego opisu, zamierzam podzielić twój smutek i otworzyć serce przed tobą: krótko mówiąc, chcę ci wyjawić wszystkie troski i tajemnicę mej duszy, którą do tej pory próżność moja ukrywała przed resztą świata, a którą ty teraz wymuszasz ze mnie wbrew mym przeciwnym postanowieniom.

Biorąc pod uwagę udręczenia, które spadły na nas i fakt, że nie można oczekiwać żadnej zmiany naszego położenia, jest oczywiście, że te szczęśliwe dni, którym daliś mi się zwiędzić, należą obecnie do przeszłości i że pozostało nam tylko wymazać z pamięci za pomocą bolesnych usiłowań wszystkie ich ślady i wspomnienia. Pragnęłam znaleźć w filozofii i religii uleczenie mej hańby; szukałam schronienia, które zabezpieczyłoby mnie od miłości. I stałoby obecne smutne doświadczenie; składałam śluby zakonne, by uodpornić siebie.

Ale cóż przez to uzyskałam? Jeżeli powściągnęłam swą namiętność, myśli jednak pozostały wolne. Obiecuję sobie, że Cię zapomnę, a jednak nie mogę myśleć o tym, nie kochając cię. Miłość moja wcale się nie zmniejszyła na skutek rozważań, snutych w celu wyswobodzenia się spod jej władzy. Milczenie, którym się otoczyłem, czyni mnie bardziej czułym na jej wrażenia i nie mając żadnego zajęcia, myślę tylko o niej. Aż po wielu bezużytecznych zabiegach, zacząłem sobie tłumaczyć, że walka o wyswobodzenie się jest zbyt ciężkim wysiłkiem i że wystarczy jąca rozstrpnością jest ukryć przed wszystkimi, prócz Ciebie, moją rozterkę i słabość.

Odsuwam się od Ciebie z zamiarem unikania Cię, jak wroga, a jednak ustawicznie myślę: moja szuka ją Cię; wywołuję Twój obraz pa-

Serce, które tak kochało, jak moje, nie może zaraz zubożeć. Wahamy się długo pomiędzy miłością a nienawiścią, zanim osiągniemy spokój i zawsze pochlebiamy sami sobie z jakąś nieszczęsną nadzieją, że nie możemy być całkowicie zapomnieni.

Tak, Abelardzie, zaklinam Cię na więzy, które tu noszę, abys ulżył ich ciężarowi i uczynił je tak przyjemnymi, jak chciałabym, by były dla ciebie. Naucz mnie zasad Boskiej miłości: odkąd mnie opuściłeś, będę się chwalić, że jestem poślubioną niebu. Moje serce uwielbia ten tytuł i pogardza każdym innym; powiedz mi, jak się hoduje tę Boską miłość, jak się ją wypracowuje, jak oczyszcza?

Kiedy byliśmy miotani po oceanie świata, mogliśmy słuchać tylko twoich wierszy, które sławiły wszędzie nasze radości i przyjemności. Teraz, gdy jesteśmy w przyśrodku łaski, czyż nie jest stosowne, byś rozważał ze mną tę nową szczęśliwość i uczył mnie wszystkiego, co może ją podnieść lub udoskonalić? Ukaż mi to samo zadowolenie w moich obecnych warun-

kach, jak to czyniłeś, gdy żyliśmy w świecie. Nie zmieniając zapachu naszych uczuć, zmieńmy ich przedmiot, porzućmy nasze pieśni i śpiewajmy hymny, podnieśmy serca do Boga i oddawajmy się uniesieniom tylko ku Jego chwale.

Oczekuję tego od Ciebie, jako rzeczy, której nie możesz mi odmówić. Bóg ma szczególne prawo do serc wielkich ludzi, których stworzył. Kiedy Mu się podoba ich dotknąć, porywa je i pozwala im mówić i oddychać tylko na Jego chwałę. Nim nadejdzie ten moment łaski, to pomyśl o mnie, nie zapomnij mnie, pamiętaj o mej miłości, wierności i stałości: miłuj mnie, jak swą kochankę, pieść mnie, jak swe dziecko, jak siostrę, jak żonę! Pamiętaj, że cię jeszcze kocham, a przecież walczę, by wyzbyć się tej miłości. Cóż to za straszne słowa! Wzdrygam się ze zgrozy, a serce buntuje się przeciw temu, co powiedziałam. Zroszę cały papier łzami. Kończę mój długi list, życząc Ci, jeśli tego pragniesz (oby Niebiosy dały, bym i ja mogła tego pragnąć) rozstania na zawsze!

Na ten list Heloizy Abelard odpowiedział, jak niżej:

Abelard do Heloizy

mięci w ustawicznych niepokojach zdradzam się i zaprzeczam sam sobie. Nienawidzę Cię! Kocham Cię! Wstyd oblega mnie zewsząd.

W tej chwili obawiam się, że mógłbym wydawać się obojętnym do Ciebie, a przecież wstyd mi ujawniać swój niepokój. Jak słabi jesteśmy w swej istocie, o ile nie wspieramy się na Krzyżu Chrystusowym. Czyż będziemy tak mało odważni i czyżby ta rozterka służenia dwóm panom, która dręczy Twoje serce, była udziałem i mego? Widzisz moje zmieszanie, moje poczucie winy i cierpienie.

Religia każe mi podążać drogą cnoty, ponieważ nie mogę niczego oczekiwać od miłości. Ale miłość zachowuje jeszcze władzę nad wyobraźnią i rozważa minione uciechy. Pamięć zajęła miejsce ukochanej. Pobożność i obowiązek nie zawsze są owocem zacisza; nawet na pustyni, kiedy rosa niebios nie pada na nas, kochamy to, czego nie powinniśmy dłużej kochać.

Namiętności, wzburzone przez osamotnienie, wypełniają te krainy śmierci i milczenia; gdzie rzadko się zdarza, żeby wiernie wypełniano powinność i żeby kochano Boga i służono Mu. Gdybym wiedział o tym przedtem, byłbym Cię lepiej wykształcił. Nazywasz mnie swym mistrzem, prawda jest, że byłaś mierzona mej pieczy, Zobaczyłem Cię, pragnęłam gorliwie nauczyć Cię próżnych nauk; to kosztowało Cię niewinność, a mnie swobodę.

Twój wuj, który Cię kochał, stał się moim wrogiem i zemścił się na mnie. Gdybym teraz, straciwszy możność zaspokożenia swej namiętności, stracił też możliwość kochania Ciebie, miałbym pewną pociechę. Moi nieprzyjaciele dałoby mi ten spokój, który Orygenes posiadał przez zbrodnię. Jakiż ja jestem nieszczęsny! Znajduję się bar dziej winnym, myśląc o Tobie, nawet wśród łez, niż gdy posiadałem Cię, ciesząc się swobodą. Ustawicznie myślę o tobie, ustawicznie przypominam sobie twoją czułość.

W tym położeniu, o Panie! jeżeli padam przed Twym ołtarzem, jeżeli biagam cię o litość, czemu czysty płomień Ducha nie spożywa złożonej Mu ofiary? Czyż ten ubiór pokutny, który noszę, nie skłoni Niebios, by traktowały mnie łaskawiej? Ale Niebiosy są jeszcze nieugięte, ponieważ moją namiętność dotąd żyje we mnie; ogień

jest tylko przykryty zwodniczymi popiołami i ugasić go można jedynie przy pomocy nadzwyczajnej łaski. Oszukujemy ludzi, ale nie jest ukryte przed Bogiem.

Wyznałaś mi, że dla mnie przywdziałas ten welon, który Cię spowija; dlaczego bezczęścisz swe powołanie takimi słowami? Dlaczego bluźnierstwem wyzywasz zazdrość Bożą? Spodziewałem się, po naszym rozłączeniu, że zmienisz swe uczucia; spodziewałem się także, że Bóg uwolni mnie od orgii zmysłów. Zazwyczaj nasze uczucia do nieobecnych zamierzają tak jak i ich uczucia do nas; nieobecność jest grobem miłości. Ale dla mnie nieobecność jest ustawicznym przypominaniem tego, co kiedyś kochałem, przypomnieniem, które mnie ciągle dręczy. Sądziłem w swej pysze, że gdy nie będę Cię więcej widywał, będziesz mogła pozostać w mej pamięci bez zakłócania mego spokoju; że Brytania i morze nasuną inne myśli, że posty i studia wymażą Cię stopniowo z mego serca. Ale pomimo surowych postów i podwójonych studiów, pomimo dzielącej nas odległości 300 mil, obraz Twój w welonie, jak piszesz, ukazuje mi się i miesza wszystkie moje postanowienia.

Czegóż nie próbowałem! Uzbrowiłem swe ręce przeciw sobie; wyczerpałem się w ustawicznych ćwiczeniach; komentowałem św. Pawła; wiodłem spór z Arystotelesem; krótko mówiąc, robiłem wszystko to, co zwykłem robić, zanim Cię pokochałem, ale wszystko na próżno! Nic, co Ci się przeciwstawia nie może być uwięzieniem powodzeniem. Och! nie powiększaj mych nieszczęść swą stałością... Dlaczego używasz całej swej wymowy, by czynić mi wyrzuty z powodu ucieczki i milczenia? Oszczędź mi opowiadania o naszych spotkaniach ze swą niezmienną do kładnością; dość cierpię bez wywoływania tak niepokojących myśli. Cóż zaprzewagę może nam dać filozofia w stosunku do innych ludzi, jeżeli, studiując ją, nie możemy się nauczyć rządzić własnymi namiętnościami? Jakież wysiłki, jakież nawroty do dawnych błędów, jakież wzburzenia są naszym udziałem! I jak długo gubimy się w tym chaosie, niezdolni do rozumowania, do opanowania się, do rządzenia naszymi uczuciami?...

Jak mogę oddzielić od osoby, którą kocham, namiętność, którą

powiniennem nienawidzieć? Czy żę, które przelewam, wystarczą, by uczynić mi ją nienawistną? Nie wiem, jak się to dzieje, ale istnieje zawsze pewna przyjemność w opia kiwaniu ukochanego przedmiotu. Trudno jest w naszej trosce odróżnić pokutę od miłości. Wspomnienie zbrodni i wspomnienie przedmiotu, który nas oczarował, są zbyt blisko powiązane ze sobą, by można je było natychmiast rozdzielić. A miłość do Boga początkowo nie unicestwia całkowicie miłości do stworzenia.

Ale jakichż bym wymówek nie znalazł, jeśli chodzi o Ciebie, gdyby zbrodnie były wytłumaczalne? Niepopłatny zaszczyt, kłopotliwe bogactwa nie mogły mnie nigdy skusić: ale te wdzięki, ta piękność, ten wygląd, które jeszcze w tej chwili pamiętam, spowodowały mój upadek. Twoje spojrzenia były początkiem mej winy; Twoje oczy, Twoja mowa poruszyły moje serce; i pomimo ambicji i sławy, które próbowały się bronić, miłość wkrótce zapanowała wszęchni.

Bóg, aby mnie ukarać, opuścił mnie. Nie jesteś już dłużej w świecie; wyrzekł się go; ja jestem zakonnikiem poświęconym samotności; czyż nie powinniśmy wykorzystać naszego położenia? Czyżbyś chciała zniszczyć mą pobożność w samym jej zaraniu? Czyżbyś chciała, abym opuścił opactwo, do którego dopiero co przybyłem? Czyż mam wyrzec się swych słów? Uczyniłem je wobec Boga; jeśli je złamię, dokąd ucieknę przed Jego gniewem? Pozwól mi znaleźć ukojenie w powinności...

Błagam Cię, jak fundatora lub inną znakomitą osobę, nie zwracając na mnie więcej uwagi, Twoje pochwały nie zgadzają się z moimi ułomnościami. Jestem nieszczęśliwym grzesznikiem, korzącym się w pyłe przed Sędzią i z twarzą przyciśniętą do ziemi, miesząc z nią swe łyzy. Czy możesz widząc mnie w tym stanie, prosić, bym Cię kochał? Przyjdź, jeśli uważasz to za stosowne i w swej świętej szacie stań pomiędzy mym Bogiem i mną jako mur, który dzieli. Przyjdź i wymuś ode mnie te westchnienia, myśli i przysięgi, które należą się Jemu jedynie. Pomóż złym duchom i bądź narzędziem ich złościwości. Dlaczego nie masz naklonić do tego serca, którego ślabość znasz tak doskonale?

Nie, usuń się i przyczyn się do mego zbawienia. Pozwól mi uniknąć zagłady, zaklinam się na nasze dawne tkliwe uczucie i nasze wspólne obecne nieszczęście. Miłość nieokazywana pozostanie zawsze najzwieńższą; zwalnię Cię tutaj ze wszystkich przysięg i zobowiązań. Oddaj się całkowicie Bogu, którego jesteś własnością; nigdy nie sprzeciwię się tak pobożnemu zamiarowi. Jakżeż będę szczęśliwy, jeśli cię stracę w ten sposób! Wtedy będę prawdziwym zakonnikiem, a Ty doskonałym przykładem przełożonej klasztoru.

Wynagrodź Twą krzywdę pełnym chwałą wyborem; uczyn swą cnotę widowiskiem, godnym ludzi i Aniołów. Bądź skromną postać swych dzieci, wytrwaj w chorze, dokładną w wykonywaniu reguły, pilną w czytaniu; nawet chwile wypoczynku uczyni pozytecznymi.

Czyżbyś brała tak lekko swe powołanie, że nie potrafiłabyś go obrócić ku najwyższemu użytkowi? Ponieważ pozwoliłaś się wykorzystać przez fałszywą naukę i zbrodnicze polecenia, nie opieraj się tym dobrym radom, którymi mnie natchnęła łaska i wiara.

Wyznam Ci, że sądziłem dotąd, iż jestem zdolniejszym nauczycielem, jeśli chodzi o sączenie występkę, niż wpajanie cnoty. Moja

obłudna wymowa zrodziła zakłamanie dobro. Serce, pijane żądzą, mogło namawiać tylko do takiego wzajemnego stosunku, któryby na kłaniał do niej. Czarą grzeszników pieni się tak zachwycająca stodyczą, a my z samej swej natury tak jesteśmy skłonni ją próbować, że wystarczy tylko, aby ją nam ofiarowano.

Z drugiej strony kielich świętych jest napełniony tak gorzkim napojem, że natura wdryga się przed nim! Wymawiasz mi tchórzliwość, że Ci go dałem pierwszej. Chętnie poddaję się tym oskarżeniom. Nie mogę nie podziwiać gotowości, jaką okazałaś, godząc się na przywdzianie szaty zakonnej. Nieś tedy odważnie Krzyż, który tak zdecydowanie podjęłaś. Pij z kielicha świętych, aż do dna, nie spoglądając na mnie z niepewnością. Pozwól mi usunąć się daleko od Ciebie i posłuchać Apostoła, który rzekł: „Przepadnij!” Pod pozorem pobożności błagam mnie, bym powrócił. Twoja żarliwość w tym względzie rodzi we mnie podejście i zwątpienie, jak Ci odpowiem. Jeśli popełnię tu błąd, po historii naszych niepowodzeń, moje słowa powinny splonąć wstydem jeśli tak można się wyrazić. Kościół jest zazdrosny o swą chwałę i żąda, aby jego dzieci nakłaniać do cnoty bogobojnymi sposobami. Jeżeli zbliżamy się do Boga w nienaganny sposób, wtedy możemy śmiało zapraszać innych do Niego.

Ale niebios żądają od Abelarda, żeby zapomniał o Heloizie, żeby jej więcej nie widział. I nie oczekiwać niczego od Abelarda, zapomnieć nawet myśli o nim: oto co Niebios nakazują Heloizie. Za pominięcie w miłości jest najmniezbędniejszą i najtrudniejszą pokutą. Łatwo jest opowiadać o naszych błędach; iluż zamiast wyznawać je z pokorą, znajdowało w tym powtórną przyjemność! Jedyną drogą powrotu do Boga jest zaniechanie umiłowanej istoty i umiłowanie Boga, któregośmy zaniedbywali. To może się wydawać trudne, ale musi być dokonane, jeśli chcemy być zbawieni.

Aby Ci to ułatwić, zastanów się, dlaczego nalegałem, byś złożyła śluby przede mną; i wybac mi mą szczerłość i zamiar zasłużenia na Twe zapomnienie i nienawiść, jeżeli nic przed Tobą nie ukryję. Kiedy ujrzałem się zgnębionym przez nieszczęście, byłem wściekle zazdrosny; uważałem wszystkich mężczyzn za swych rywali. Miłość jest bardziej nieufna — niż pewna. Byłem świadomy swych licznych wad i dręcząc się obawą z powodu swego własnego przykładu, wyobraziłem sobie, że Twoje serce tak jest przyzwyczajone do miłości, że nie będzie mogło pozostawać długo bez wejścia w nowe związki. Zazdrość łatwo potrafi uwierzyć w najstraszniejsze rzeczy.

Pragnąłem uniemożliwić sobie zwątpienie w Ciebie. Pragnąłem usilnie wytłumaczyć Ci, że przyzwyczajenie wymaga Twego wycofania się sprzed oczu świata; że żąda tego skromność i nasza przyjaźń; i że Twoje własne bezpieczeństwo nakłania Cię do tego; po takim odwiecie, dokonany na mnie, mogłaś spodziewać się bezpieczeństwa tylko w klasztorze.

Muszę Ci oddać sprawiedliwość, że bardzo łatwo dałaś się przekonać. Moja zazdrość potajemnie cieszyła się Twoją niewinną uległością, a przecież, chociaż triumfujący, niechętnie ustępowałem Ci Bogu. Zachowałem swój skarb, jak długo to było możliwe i rozstałem z nim li tylko dla zachowania go poza zasięgiem innych ludzi. Nakłoniłem Cię do wstąpienia do zakonu nie ze względu na twoje szczęście, ale

skazałem Cię nań, jak nieprzyjaciela, który niszczy to, czego nie może unieść. A jednak Ty łaskawie słuchałaś mej mowy, czasem przerywałaś mi łzami i przynaglałaś mnie do zapoznania Cię z najbardziej godnymi szacunku klasztorami, Jakaż pociechą jest dla mnie to Twoje zamknięcie. Jestem teraz spokojny i znajduję zadowolenie, myśląc, że po mojej hańbie nie pozostajesz dłużej w świecie i że więcej do niego nie wrócisz.

Ale jeszcze wątpiłem. Sądziłem, że kobiety są niezdolne do mocnych postanowień, dopóki nie są zmuszone do tego koniecznością ślubów. Pragnąłem tych słów i samego Nieba dla zabezpieczenia Cię, że bym nie mógł dłużej Ci nie ufać. O wy święte siedzi i nieprzeniknione schronienie! Od iluż nieprzełączonych obaw uwolniliśmy mnie? Wiara i pobożność stoją na warcie przed kratami i murami. Jakaż to przystań pokoju dla zazdrosnego umysłu! I z jakaż niecierpliwością zabiegałem o nią!

Codziennie ze drżeniem przyste powałem do wzywania Cię do tej ofiary; podziwiałem, nie osmielając się wspomnieć Ci o tym, nieznanym blask Twjej urody, którego nigdy przed tym nie zauważyłem. Czy to był rozkwit powstającej cnoty, czy przecucie wielkiej strasy, którą miałem ponieść — nie byłem ciekawy, by zgłębić przyczynę, tylko przynaglałem, byś wstąpiła do klasztoru. Uczyniłem Twą przełożoną współniczką mej winy przez zbrodnicze przekupstwo, dzięki któremu nabyłem prawo pogrzebania Cię. Przełożona domu zakonnego została podobnie przekupiona i w myśl moich poleceń ukrywała przed Tobą wszystkie swe skrupuły i niechęć. Nie ominięłam żadnych sposobów, wielkich, ni małych, nie cofnąłbym się przed niczym; byłem zdecydowany ścigać Cię wszędzie. Mój cień szedłby zawsze Twymi śladami, ustawicznie powodując Twe zmieszanie lub lęk, które byłyby moją świadomą nagrodą.

Ale, dzięki Niebiosom, zdecydowałaś się złożyć śluby. Towarzystwem Ci do stóp ołtarza; kiedy wyciągnęłaś rękę, by dotknąć świętego ubioru, słyszałem, jak wyraźnie wymawiasz fatalne słowa, które na zawsze rozłączyły Cię od mężczyzny. Do tej chwili myślałem, że Twa młodość i piękność zniweczą mój zamiar i zmuszą Cię do powrotu do świata. Czyż mała pokusa nie mogła Cię zmienić? Czyż można całkowicie wyrzec się siebie w wieku lat 22? Czyż w wieku, który rości sobie prawo do największej swobody, mogłaś uważyć, że świat nie jest dłużej wart Twych względów? Jakżesz Cię skrzywdziłem i ileż słabości Ci przypisywałem? Byłaś w mych wyobrażeniach zarówno płochą, jak niestałą. Czyż kobieta, słysząc trzask płomieni i walenie się So domy, mimowolnie nie obejrzała się, litując się na kimś? Sledziłem Twoje oczy, Twój każdy ruch, Twój wygląd i truchlałem przed wszystkim. Możesz nazwać takie samolubne postępowanie zdradą perfidii, mordestwem. Miłość, tak bardzo podobna do nienawiści, może wywołać najwyższą pogardę i gniew.

Wypada, żebyś wiedziała, że w tej samej chwili, w której dowiedziałem się o Twym całkowitym poświęceniu, kiedy zobaczyłem, że jesteś nieskończenie warta całej mej miłości, wyobraziłem sobie, że mógłbym Cię już nie kochać. Myślałem, że jest to sposobna chwila, abym przestał Ci okazywać dowody uczucia i sądziłem, że przez twe święte zaślubiny, jesteś teraz pod szczególną opieką Niebios, a nie pod moją pieczę jako żona. Za

zdrość zdawała się być ugaszoną. Kiedy tylko Bóg jest naszym rywalem, nie mamy się czego obawiać; i będąc spokojniejszym, niż kiedykolwiek przed tym, osmieliłem się prosić Go, by Cię usunął sprzed moich oczu.

Ale nie był to czas do zanoszenia takich próśb i moja wiara nie uzasadniała ich wysłuchania. Przy mus i rozpacz leży u korzenia mych poczynań i moja ofiara była raczej obrazą dla Nieba. Bóg odrzucił i ofiarę i prośbę i karał mnie dalej, zsyłając na mnie cierpienia jako następstwa miłości. Po nosiłem winę zarówno za me słubowania, jak i za poprzedzającą je namiętność i muszę męczyć się do końca mych dni.

Gdyby Bóg przemówił do twe go serca, jak do zakonnicy, której niewinność po raz pierwszy prosiła Go o łaski, — byłbym po cieszony. Ale widzieć nas oboje ofiarami występnej miłości, widzieć tę miłość, która obraża nasze szaty i niweczy poświęcenie, to napełnia mnie strachem i drżeniem. Czyż to jest stan potępienia? Lub czy to skutki długiego upajania się bluźnierczą miłością?

Nie możemy nazwać miłości trucizną i pijaństwem, dopóki nie oświeci nas Łaska. W międzyczasie jesteśmy namiętnie przywiązani do zła. Gdy trwając w błędzie uświadomimy sobie naszą nędzę, jest to pierwszym krokiem do poprawy. Któż tego nie wie, że ku chwale Bożej słabość człowieka jest jedynym powodem miłosierdzia? Kiedy Bóg pokazał nam tę słabość i uczuliśmy żal, jest gotów okazać swą wszechmoc i do pomóc nam. Powiedzmy sobie na pociechę, że nasze cierpienie jest jedną z tych najstraszliwych pokus, które czasem nawiedzały naj większych świętych.

Bóg może ujawniać swą obecność ludziom, kiedy uzna to za stosowne, aby złagodzić ich nieszczęścia. Było mu miłym przyciągnąć Cię do siebie przez swą łaskę, kiedy przywdziałaś welon. Widziałem Twe oczy, utkwione w Krzyżu, kiedy wymawiałaś ostatnie pożegnanie. Dopiero po przeszło sześciu miesiącach napisałaś do mnie, a w tym okresie nie otrzymałem od Ciebie żadnych wiadomości. Podziwiałem to milczenie, którego nie osmieliłem się ganić, ale nie mogłem naśladować. Napisałem do Ciebie, a ty mi nie odpowiedziałaś: Twe serce było wtedy zamknięte, ale teraz ten ogród oblubienicy jest znów otwarty; Bóg wycfał się z niego i pozostawił Cię samą.

Wycofując się, chciał Cię wypróbować: przywołał Go z powrotem i walczył o odzyskanie Go. Musimy mieć pomoc Bożą, bo wtedy możemy zerwać nasze więzy: jesteśmy zbyt pogrążeni w miłości, byś mogli sami się uwolnić.

Nasze szaleństwa przeniknęły do świętych miejsc; nasz romans był skandalem w całym królestwie; czytano o nim i podziwiano go; miłość, która go spowodowała była przyczyną, że go opisywano. Będziemy na zawsze pociechą dla zawodów młodości; ci, którzy po nas zbłądzą, będą się uważali za mniej winnych. Jesteśmy zbrodniarzami, których pokuta jest opóźniona; o, niech będzie szczerą! Naprawmy, o ile to możliwe, zło, któreśmy wyrządzili, i zadziwmy pokutą Francję, która była świadkiem naszych zbrodni. Przeklinajmy wszystkich, którzy chcieliby naśladować naszą winę — Stańmy po stronie Boga przeciwko nam samym i tak postępując, zapobiegijmy Jego wyrokowi.

Nasze poprzednie upadki wymagają łez, wstydu i smutku, aby odpokutować za nie. Złożmy te ofia

ry z głębi serc, płonmy wstydem i płacmy. Jeśli w tych słabych początkach, o Panie, nasze serca nie są całkowicie Twoimi, pozwól im przynajmniej czuć, że takimi być powinny.

Oswobodź się, Heloizo, od fałszywych resztek zbyt głęboko zakorzenionej namiętności. Pamiętaj, że najmniejsza myśl o kim innym, niż o Bogu, jest cudzołóstwem. Gdybyś mogła mnie tu widzieć z wynędzniałym, smutnym obliczem, otoczonego tłumem przesładujących mnichów, których rozgłos mego nauczania napełnia obawą i przeraża moja wychudła twarz, tak jakbym groził im reformami, co byś powiedziała na moje nikczemne westchnienia i bezużyteczne łyzy, które oszukują tych łatwowiernych ludzi? Niestety! Jestem poniżony przez miłość, a nie przez Krzyż. Zlituj się nade mną i oswobodź mnie. Jeżeli Twoje powołanie jest, jak mówisz, moim dziełem, nie pozbawiaj mnie tej zasługi, niepokojąc mnie ustawicznie.

Powiedz mi, że będziesz wierną szacie, która Cię przyoblekła przez wewnętrzne uspokojenie się. Obawiaj się Boga, byś mogła być uwolniona od swych słabości — kochaj Go, byś mogła robić postępy w nocie. Nie niepokój się w klasztorze, bo to jest spokój świętych. Przyjmij swe więzy, bo to okowy Jezusa Chrystusa; On je uczynił lżejszymi i będzie je niósł z Tobą, jeżeli tylko przyjmiesz je z pokorą.

Nie sądząc surowo namiętności, która jeszcze jest twym udziałem, ucz się z doświadczeń swego nieszczęścia śpieszyć z pomocą słabym siostróm; miej dla nich litość, zważywszy swe własne błędy. A jeżeli jakieś myśli, zbyt słabodne, będą Cię dręczyć, biegnij do stóp Krzyża i tam błagaj o miłosierdzie — tam są rany otwarte, by uleczać; narzekaj tam przed umierającym Bóstwem.

Stojąc na czele religijnej społeczności nie bądź niewolnicą i mając władzę nad królówymi, zaczynaj kierować sama sobą. Płon wstydem za najmniejszy bunt twych zmysłów. Pamiętaj, że nawet u stóp ołtarza często składamy ofiarę zakłamanym duchom i żaden pożar nie jest im przyjemniejszy, niż ziemska namiętność, która jeszcze płonie w sercu zakonnika.

Jeżeli podczas pobytu w świecie dusza Twa przyzwyczaiła się do kochania, czuj je teraz tylko dla Jezusa Chrystusa. Żałuj wszystkich chwil swego życia, które zmarnowałaś w świecie, na przyjemności; zażądaj ich ode mnie; bo to jest kradzież, za którą ja jestem winny; odważ się i śmiało rób mi z tego powodu wymówki.

Byłem rzeczywiście Twym nauczycielem, ale tylko, aby uczyć Cię zła. Nazywałeś mnie swym ojcem; zanim miałem jakieś prawo do tego tytułu, zasługiwałem na miano ojcobójcy. Jestem Twym bratem, ale to wyróżnienie zawdzięczam pokrewieństwu w grzechu. Nazywałem się Twym mężem, ale dopiero po publicznym skandalu.

Jeśli w nagłówku swego listu nadużyłaś tytułu świętych określeń, aby uczyć mnie i szczyścić się swą namiętnością, wymaż je i zastąp mianami mordercy, łajdaka i wroga, który spiskował przeciw Twemu honorowi, zakłócił Twój spokój i zdradził Twą niewinność. Zginęłaś przede mną, gdyby nie dowód nadzwyczajnej łaski, która obaliła mnie w połowie drogi, abyś Ty mogła być zbawiona.

W ten sposób powinnaś myśleć o zibegu, który pragnie pozbawić Cię na zawsze nadziei ujrzenia go kiedykolwiek. Ale, gdy miłość raz była szczerą, jak trudno postanowić nie kochać więcej. Jest tysiąc

(Dokończenie na str. 7)

Jan Meyszłowicz

La continuité de la France

(Ciągłość Francji)

w sto sześćdziesiątą rocznicę 14-go lipca

Pierwszego stycznia 1939 roku, w południe, na przestronnych okapach okien Zamku Królewskiego w Warszawie jarzył się suty śnieg. Kunsztownie rzeźbione w drzewie podwoje Sali Rycerskiej otwarte były na oścież. Cynowy, przetykany dukatowym złotem blask polskiego, zimowego słońca, panoszył się po przepysnej posadzce, pamiętającej jeszcze żywo dworne postukiwanie wysokich, czerwonych obcasów i zapach piżmowego pudru obficie osypującego się z białych peruk.

Salę zapelniał z wolna i dostojnie tłum lśnących lampasami, wstęgami i gwiazdami orderowymi, czernią i granatem galowych mundurów, mieniących się złotym haftem. Korpus dyplomatyczny akredytowany w Warszawie zbierał się uroczystość dla tradycyjnego złożenia życzeń noworocznych Prezydentowi Rzeczypospolitej.

Niejednemu bywalcowi szmer rozmów i powitań wydawał się cichszy niż zazwyczaj w czasie podobnych spektakli. Do ich tonacji wkradała się uporczywie jakaś przemożna, minorowa nuta. Niejeden, być może, z obecnych na tej sali wystrojonych dyplomatów czuł na swym sumieniu ciężar tchórzliwych przemilczeń. A może strusie pióra ich stosowanych kapeluszy przypominały im przysłowiowy gest tego ptaka?

Lecz na pewno wyobraźnia żadnego z zebranych, choćby nawet zapłodniona jasnością intelektualnej wizji, nie była w stanie przeniknąć przyszłości tak bliskiej, że obejmującej najbliższy, kolejny dzień noworoczny. Kiedy to z tej Sali Rycerskiej i z Zamku Królewskiego w Warszawie pozostały tylko zgłuszcza, a cudne tafle posadzek z osiemnastego wieku rwali jedną po drugiej Niemiecacy saperzy, nie dla ogrzania

spracowanych dłoni żołdackich, ale wykonując ochoczo rozkazy przedstawicieli wyższej niemieckiej kultury.

Do rozpoczęcia właściwej uroczystości pozostawało jeszcze nieco czasu, tłum falował, tworzyły się grupy, wymieniano ukłony, pozdrowienia, ostannie impresje i plotki. Młodzi attachés i sekretarze, cokolwiek onieśmieleni wśród tylu splendorów, drpetali jeden za drugim jak bażanty na tokowisku. Większe skupiska tworzyły się dokoła ambasadorów wielkich mocarstw.

Jedną z najbardziej otoczonych ekscelencji był pan Léon Noel, ambasador Francji, na czele licznego grona współpracowników. Gdy tak sobie gwarzono, któryś z pomniejszych, lecz obdarzonych bystrym okiem, ministrów pełnomocnych zauważył, że zarówno ambasador Noel jak i jego personel, mają co prawda, zgodnie z wymogami swego stroju, szpady u boku — ale każda z nich jest inna.

I tak, sam ambasador, który podczas swej długiej kariery piastował był urząd prefekta, miał szpadę jaką noszą do galowych mundurów najwyżsi dostojnicy administracji francuskiej. Pierwszy radca zadawał się szczerą, jakimi przepisami Quai d'Orsay każą nosić dyplomatom francuskim występującym w pełnej gali. Na bogato cyzelowanej w srebrze rękojeści szpady, używanej jakoby przez bezpośrednich antenatów pierwszego sekretarza, lśniły niezbyt dyskretnie liście burbońskie. Drugi sekretarz nosił szpadę odziedziczoną po dziadku, z orłem cesarskim i cyfrą Napoleona III, ze złoczonego brązu.

Jakiego natomiast pochodzenia mógł być niezbyt dekoracyjny, aczkolwiek niewątpliwie broń boczna przypominający, przyrząd zwisający wzdłuż tydek drugiego radcy?

Na to pytanie na próżno szukano odpowiedzi, a gdy wśród wesołych, a może nawet odrobinę ironicznych, komentarzy na temat tej kolekcji szpad, zwrócono się do ambasadora Noela — ten odpowiedział jednym zdaniem, które zabłysło jak stalowa klinga i oślniło zebranych dokoła:

„Voyez-vous, Messieurs — c'est la continuité de la France!”

**

Siedemnastego czerwca 1940 roku, w południe, w P..., bretońskiej miejscinie, płatany na placu przed merostwem słaniały się złote ukropem słońca. Na malutkim, wyłożonym kafelkami tarasie głównego „bistrot”, z głośnika ustawionego na kontuarze, przy otwartym oknie, rozlegał się głos marszałka Pétain. Mówił o honorze i o kapitulacji. Zebrani na tarasie autochtoni słuchali go chciwie.

Gdy skończył, upojne tony Marsylianek, którymi chciano zapewne patriotycznie omaścić

jego słowa, zostały wkrótce zdławione komentarzami pełnymi soczystego uznania.

Zaraz potem zajęły na placu dwa wehikuly. Pierwszym była mała, ale za to anatomiczna, ciężarówka, z przyczepką w kształcie wysokiej klatki na dwóch kołach; jej właściciel, rzeźnik, wykoncypował ją specjalnie dla przewożenia bydła do uboju. Drugim była olbrzymia, dziesięciotonowa platforma, o dieselowym silniku, otoczona tęgimi łańcuchami na żelaznych drążkach. Na obu drzewczkach szoferskiej kabiny wymalowane były nazwa i adres dużego, lokalnego browaru.

Oba te pojazdy, łącznie z przyczepką, wyładowane były uzbrojonymi żołnierzami polskimi. Jedni mieli nowiutkie mundury, drudzy ćwiczebne drelichy, a wszyscy chodzili niezdarne, jakby cierpieli na tysiące odcisków. Łatwo się było domyśleć po jasnożółtej, nieskalanej barwie ich obuwia, że wyfasowali je nie wcześniej niż poprzedniego dnia. Oszczędny francuski intendent nie mógł się na to zdecydować przed upadkiem Paryża.

Oddziałem, a raczej żołnierską zbieraniną, dowodził pułkownik podporucznik, rodem spod Wieliczki, w cywilu praktykant adwokacki. Rozkaz, jaki otrzymał od pewnego pułkownika dyplomowanego — który właśnie pakował nerwowo walizkę, aby wyrwać do W. Brytanii — był lakoniczny, wzniosły i najzupełniej fantastyczny. „Uchwycić P... i bronić przejścia nplowi posuwającemu się z kierunku Rennes”.

Dla wykonania tego rozkazu podporucznik miał nieco karabinów, cztery rkm-y, a amunicji — pozał się Boże. Zarekwirował gracko pierwsze pojazdy mechaniczne jakie nawinęły się mu pod rękę i pojechał bronić P...

Znalazszy się na miejscu rozglądając się, popatrzył raczej bezradnie dokoła, potem na mapę — i powziął decyzję. Z placu do wylotu z miasta na szosę było może ze sto metrów, wzdłuż wysadzanej platanami ulicy. A zatem wszystkie rkm-y na stanowiska przed wjazdem do P..., który zataraśuje się pościnanymi w tym celu platanami — i zapora przeciwczołgowa gotowa!

Widząc te wojownicze przygotowania autochtoni, zebrani z merem na czele przed „bistrot”, zaczęli pokrzykiwać i kręcić się niespokojnie. A gdy żołnierze zażądali siekier i stało się oczywiste, że zamierzają zabrać się do platanów — aż się zakotłowało na rynku. Mer, którego twarz symbolizowała dosadnie kilka pokoleń dostatku w jadle i napitku, skoczył do polskiego dowódcy i ryczał wyrażając mu pięściami:

„Wynoście się stąd! Nie pozwalam! Wojna jest skończona! Nasz marszałek powiedział! Chcecie ścinać nasze drzewa! Chcecie nam bombowce niemieckie na kark sprowadzić!

Fichez-moi le camp, sales Polonais!”

Tłum wtórował groźnie swemu merowi. Podporucznik-aplikant był legalistą. Mer reprezentował władzę cywilną sprzymierzonego kraju. Co prawda, stanowisko tej władzy nie bardzo mieściło się w głowie. W międzyczasie rosło zamieszanie i potężniały wrzaski. Znalazło się nawet kilku oponentów mera.

Pomiędzy żołnierzami kręcił się czternastoletni może wyrostek. Przecisnął się do podporucznika, pociągnął go za rękaw i zaczął mu niezwykłe jasno tłumaczyć, że pomysł zapory przeciwczołgowej z platanów, w tym właśnie miejscu, jest taktycznym nonsensem, bowiem taką zaporę można — z łatwością objechać. Jeżeli mon lieutenant się zgodzi, to on mu pokaże niedaleko stąd, koło szosy, odpowiednie miejsce.

Okazało się, że chłopak ma rację. Zaprowadził Polaków do miejsca nadającego się idealnie na zasadzkę ogniową. Rkm-y panowały nad szosą i sporym kawałkiem przyległych pól. Oczywiście, wobec pancerni były bezsilne, ale na to nie można było poradzić. Chłopak okazał się urodzonym partyzantem. Tak długo błagał, aż mu pozwolono położyć się w ukryciu, razem z żołnierzami.

Motocykliści niemiecy, jadący z reguły jako szpica oddziałów pancernych i zmotoryzowanych, walących ku Atlantykowi, nie kazali długo na siebie czekać. Był to patrol z trzech solówek i trzech motocykli z przyczepkami. Od dawna nie napotykali już żadnego oporu. Jechali więc śmiało aż do miejsca, w którym polskie rkm-y przecięły szosę stalowymi strugami. W jednej chwili powstało na szosie kłębowisko ludzi i maszyn. Pozostali przy życiu i ranni znaleźli się zaraz w płytkim rowie biegnącym wzdłuż szosy, skąd podnieśli ręce do góry. Podporucznik posłał kilku żołnierzy dla rozbrojenia i odprowadzenia jeńców. Lecz nie zwrócił uwagi na chłopca, który przemknął się krzakami ku Niemcom i pierwszy do nich dobiegł. To było jego zwycięstwo.

W trzy dni później nie było już wojska polskiego we Francji, tylko bezładne grupki żołnierzy przedzierających się własnym przemysłem i na własną rękę, jedni na południe, drudzy ku morzu, inni po prostu do domu. Podporucznik-aplikant, wędrując na piechotę do Tuluzy, w cywilnych spodniach i wciąż nie rozchodzonych butach, zanocował u pewnej babiny, niedaleko P...

Opowiedziała mu, że jego jeńcy, uwolnieni w Brest, wrócili do P... gdzie odszukali chłopca i zastrzelili go na rynku, na przeciwko głównego „bistrot”.

„To (był) jedyny syn mera. Tego samego mera, który tak witał Niemców. Voyez-vous, Monsieur, c'est la continuité de la grand France!”

Abelard i Heloiza

(Dokończenie ze str. 6)

Krotnie łatwiej wyrzec się świata, niż miłości. Nienawidzę tego zwodniczego, niewiernego świata; nie myślę o nim więcej; ale moje błądzące serce jeszcze wiecznie szuka Ciebie i wbrew całemu rozsądkowi dręczę się, że Cię straciło. Choć ciał w międzyczasie mógłbym być tak tchórzliwym, by aż odwołać to, co przeczytałaś, nie pozwól mi być przedmiotem Twoich myśli w sposób inny, niż ostatnio.

Pamiętaj, że moimi ostatnimi ziemskimi usiłowaniami było uwieczenie twego serca, zginęłaś przede mną a ja z tobą; te same fale pochłonięły nas. Obojętnie czekaliśmy na śmierć i ta sama śmierć uniosła nas gwałtownie ku tym samym karom. Ale Opatrzność wstrzymała cios i wyrzuciła nasz rozbity okręt w przystani.

Są tacy, których Bóg ocala przez cierpienie. Oby moje zbawienie było owocem twych modłów; pozwól mi je zawdzięczać twym łzom i twej godnej naśladowania świętobliwości. Chociaż moje serce, o Panie, jest napełnione miłością do Twego stworzenia, Twoja dłoń mo

że, jeśli zechce, uwolnić mnie od wszelkiej miłości za wyjątkiem do Ciebie.

Kochać Heloizę prawdziwie, to znaczy pozostawić ją w tym spokoju, który może zapewnić odosobnienie i cnota. Postanowiłem, że ten list będzie mym ostatnim przewinieniem. Żegnaj.

Jeżeli tu umrę, wydam polecenie, by moje ciało zostało przeniesione do domu Parakleta. Zobaczysz je w tym stanie nie po to, by żądało od Ciebie łez, ponieważ będzie na to za późno: raczej teraz płacz nade mną i ugaś płonący we mnie ogień, (k. mnie spala).

Zobaczysz mnie po to, by utwierdzić się w pobożności przez pełen zgrozy widok. Wymowa mej śmierci uświadomi Ci, na co się ważyłaś, kochając człowieka. Spodziewam się, że kiedy skończysz to do czasu życia, będziesz pragnęła być pochowaną obok mnie. Twe zimne popioły nie potrzebują się wtedy niczego obawiać, a mój grób będzie tym bogatszy i sławniejszy.

**

W następnych listach Heloiza i Abelard zaczęli stopniowo coraz więcej uwagi poświęcać zagadnieniom filozoficznym i religijnym. Przepraszając, że nie odpowiedział wcześniej, Abelard tłumaczy zwłokę nie jakimś brakiem zainteresowania, lecz, że pokładał taką ufność w jej roztropności, wykształceniu, pobożności i poświęceniu, że nie wyobrażał sobie, by potrzebowała czy to upomnienia, czy pociechy... w dalszych listach Abelard ujawnia stan, który Scott Moncrieff nazwał „wzrastającym rozdrażnieniem i nudą”. W ostatnich zamieszcza długie cytaty z wcześniejszych listów do Heloizy, wychwala „mądrość i łagodność Boga i zanosi wiele modłów”.

W odpowiedzi Heloiza prosi o wskazówki moralne, o rady w sprawach prowadzenia klasztoru i życia klasztornej kobiety. Następują długie pytania i jeszcze dłuższe odpowiedzi dotyczące zagadnień filozoficznych. W ostatnim liście Abelard zamieszcza rozprawę o zakonach, wstrzeźliwości, dobrowolnym ubóstwie, milczeniu.

Opuszczony przez przyjaciół i prześladowany Abelard umarł w wieku 63 lat. Ciało jego wyano Heloizie do pogrzebania. W dwadzieścia lat później chowano Heloizę obok niego. Do dnia dzisiejszego wspólny grób sławnych na cały świat kochanków oglądać można na cmentarzu Père-Lachaise w Paryżu. Autentyczność tego grobu jest dość wątpliwa. Znajduje się na nim napis:

„Tu pod tym kamieniem spoczywa Piotr Abelard, założyciel klasztoru i pierwsza jego przełożona, Heloiza. W życiu doczesnym oddawali się nauce, pogłębianiu myśli, miłości, nieszczęsnemu małżeństwu i pokucie. Obecnie, jak się spodziewamy, połączeni są w wiekistej chwale. Piotr umarł 21 kwietnia 1142, Heloiza 17 maja 1164”.

FILM

ULICA GRANICZNA

„Ulica Graniczna” jest filmem oskarżającym rasizm. Filmem którego znaczenie jest tym większe, że ujmuje i ocenia nie tylko najbardziej krańcową, okrutną postawę antysemityzmu prowadzącą do zbrodni, polewając odrażającą jaskrawie nieludzka, ale nie waha się dotknąć bardzo zakłanych i ciemnych spraw antysemityzmu po części biernego nie powodującego wyraźnie nicetycznego działania. Dotyka spraw bardzo drażliwych. Wartość wychowawcza tego filmu leży głównie w tym, że ocenia i wydobywa na światło dzienne ukryte i pozornie nieszkodliwe w bezpośrednim działaniu sprawy stosunków między ludźmi. Bezpośrednim dla recenzenta sprawdzianem słuszności i celności filmu była ekonfrontowanie własnych wrażeń z sądami widzów. Uderzyła mnie powtarzająca się opinia, że „Ulica Graniczna” wykrywa jakieś elementy spraw ludzkich, które w zakłanych przeżyciach okupacji zostały zaledwie naszkicowane, ujawniając problemy, które w chaosie wrażeń uległy innym bardziej pochłaniającą uwagę. „Ulica Graniczna” — i to jest wielka mądrość i wartość tego filmu — lecz z antysemityzmu. Tych których antysemityzm przełamał się fałszywie przez lotność na ekulcie nieszczęście żydowskich, dlatego tylko, że męka i okropność losu żydów rozbroiły wrogość, zmusza do rewizji własnej postawy.

W koncepcji filmu szczególnie słuszne wydaje się to, że film oskarża w sposób absolutny rasizm czynny, natomiast ocena antysemityzmu biernego dokonuje się w psychice bohaterów, wychodzi od nich samych; pokazany zostaje proces przełamania. Ta interpretacja ma szczególną wymowę wiary w człowieka. Razem z bohaterami filmu widzimy zjawiska, które powodują odrzucenie uprzedzeń antyżydowskich. Ocena tych uprzedzeń wychodzi od ludzi, którzy je odrzucają, ocena ta jest wbudowana w konflikty psychiczne bohaterów.

Scenariusz jest zbudowany w ten sposób, że stwarza wizję chronologicznej ciągłości wypadków, nie kładzie nacisku na rozpiętość czasową zewnętrznych wydarzeń, a osiąga jednolitość przez zwrócenie uwagi na rozwój charakterów. W czasie trwania filmu skrótowo czasowo wymykają się na ogół uwadze. Niemniej daje się zauważyć podwójność akcji. Można by te dwie warstwy określić w ten sposób: jedna z nich to dzieje żydów warszawskich zakończone obroną ghetta, druga to akcja wewnętrzna, psychologiczna, która dotyczy przełamania się antysemityzmu. Oba wątki mają swoją konstrukcję dramatyczną i ta podwójność robi wrażenie błędnie w ogólnej koncepcji filmu. Oto szczególnie trzecia część ujawnia podwójność osi dramatycznej. Z jednej strony skupia uwagę rozwiązanie akcji historycznej, powstanie w ghetcie, z drugiej rozwiązanie akcji konfliktu wewnętrznego. Tu, połączenie tonu epickiego, wysunięcie spraw o gromnej ekspresji; obrazu bohaterkiej walki ghetta, doskonale zrobionej wizji zagłady całej dzielnicy, z wątkiem psychologicznym umieszcza najmocniejsze akcenty uczuciowe na akcji „historycznej”. Zrobione to jest w ten sposób, że pointa filmu, scena w kanałach traci w tym zestawieniu wymowę uczuciową, tym bardziej, że po najmocniejszej w ekspresji scenie mistycznej ofiary Libermana i walki jego zięcia po doskonałym momencie słów Dawidka, który w płonącej domu woła do telefonu: „To omyłka”, następuje bardzo naiwny epizod z psem szukającym dzieci, który nie potrzebną rozkładuje nastroj, obniża napięcie, wprowadza niczym nie usprawiedliwione odprężenie, wytwarza nastroj w którym właściwa pointa filmu przechodzi osłabiona. Napięcie dramatyczne opada na minucie przez punktem kulminacyjnym. Błąd scenariusza wydaje się leżeć w niezdeterminowaniu co należy uczynić końcem dramatycznym filmu: czy sprawę konfliktów wewnętrznych, czy sprawę przebiegu zdarzeń. Wydaje się, że zdecydowanie się na jedną z tych spraw nie znaczyłoby pominięcia drugiej, należałoby tylko z jednej

uczynić wyraźny czynnik organizujący rozwój akcji dramatycznej. Nie znam kolei powstawania scenariusza, ale można sądzić, że rozdzielenie wątku zdarzeń z wątkiem psychologicznym jest wynikiem niedostatecznego powiązania jakichś dwóch pierwotnych koncepcji, z których każda miała osobną budowę.

Film bardzo wyraźnie pokazuje paralelizm postaw pozytywnych bohaterów. Wyciągnięte są konsekwencje konstrukcji charakterów. Postacie biernie nie podlegają w czasie akcji filmu ewolucji, są statyczne, postacie czynne są podmiotem zachodzących zmian psychologicznych. Postawę bierną reprezentują: krawiec Liberman, doktor Biały, dorożkarz. Ci ludzie są nieużyteczni w walce, ponieważ ulegają losowi, ich bierna zagłada pozbawiona zostaje cech tragicznych, Natan, Wojtana, Broniek, Władek, mały Dawidek zajmują postawę czynną, walczą. Ich konflikty są głęboko tragiczne, wokoło ich spraw koncentruje się wątek dramatyczny filmu.

Najważniejsza wydaje się sprawa Władka. Jego ojciec, postać dynamiczna w filmie, jest obciążony uprzedzeniami antyżydowskimi. Słowa Władka „Nie lubię żydów bo mój ojciec ich nie lubi”, charakteryzują postawę dziecka. Władek ulegając z jednej strony ojcu, który ocalony przez starożytnego Libermana, koryguje swój rasizm,

z drugiej faktom, które widzi, zmienia swój stosunek do Jadzi i Dawidka, a równocześnie zaczyna pojmować, że nie granice rasowe, a jakieś zupełnie inne rozdzielają ludzi. Ostateczną konkluzją jego zmiany, jest przekazanie rewolweru małemu Dawidkowi. Z ust Władka także padają słowa: „nie będę pomagał żydom, wolę pomóc swoim”. Oto ten podział na swoich i nie swoich, ulega w granicach filmu przełamaniu.

Gdyby film pokazał jedynie przełamanie granic rasowych dokonane w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa we wspólnej walce, postawiłby niedomówienie. Pokazuje paralelizm nie tylko walki, ale identyczności przeżywania, losu i tożsamość, cech ludzkich, ujawni sztuczność wszelkich granic rasowych, pokazuje cechy wspólne ludziom, tak bardzo podobnie czującym; myślącym z obydwu stron murów.

Wymowa dydaktyczna filmu nie wychodzi od problemów, które ilustrują pionki ludzkie, ale interesuje się człowiekiem i czyni z człowieka punkt wyjścia dla zagadnień, które mogą mieć swoją wymowę tylko w świecie prawdziwych ludzi. Realizatorzy „Ulisy Granicznej” nie pozbyli się jednak całkowicie schematyzacji psychologicznej: jaskrawej szczególnie w przypadku Wojtana, postaci progra

mowej jakby pozbawionej „krwi i kości”, a także niepotrzebnej groteski w sylwetce Kuśmiraka.

Zaletą filmu jest natomiast nie rozpraszanie się w szczegółach, nie uleganie ambicji ogarnięcia wszystkiego, ale selekcja epizodów według ich przydatności dramatycznej.

Słabą stroną filmu są dialogi. Na pewno lepsze od literackich pseudo-dialogów w innych filmach polskich, ale chwilami bardzo patetyczne i nierealistyczne. Zaletą ich jest to, że są filmowe — t. zn. bohaterom nie wkłada się w usta tego, co już zostało pokazane w wizji plastycznej.

Mimo selekcji epizodów znalazło się kilka nieumotywowanych i wręcz rażących. I tak długą ekspozycję niepotrzebnie rozwleka spacer do Wilanowa, „Warszawskie Dzieci” śpiewane w czterdziestym roku rażą tych, którzy pamiętają, że ta właśnie piosenka była śpiewana w Warszawie znacznie później. Nie wydaje się także prawdopodobne, aby ojciec kazał wędrować małemu dziecku z rewolwerem, więcej, aby zostawiał rewolwer w mieszkaniu, w którym była rewizja i w którym należałoby się spodziewać ponownej wizyty Niemców. Nastroj Warszawy w trzydziestym dziesiątym roku na pewno był zupełnie inny, aniżeli ten pokazany w filmie, a i kanały warszawskie (a wielu lu-

dzi je „zwiedzało”) są dużo mniej wygodne, niższe i mniej komfortowo urządzone.

Wydaje się słuszne, że film został zmontowany w sposób ostentacyjnie prosty, logiczny, unikający nowatorstwa. Prosta ta jest tym słusniejsza, że ułatwia widzowi śledzenie akcji filmu.

Muzyka, szczególnie motywy klamrowe z powtarzającym się chórem znacząco wrażeń filmu i jest znowu po raz pierwszy w polskim filmie doskonale związana z wymową wizji plastycznej (przy tym nie przeszkadza w dialogach i służy filmowi, a nie gra sama dla siebie).

Niezapomnianym efektem jest travelling poprzez ulicę w ghetcie pełną, zatłoczoną i drugi pokazujący opustoszałe ruiny.

Z wykonawców wyróżniają się Goddard, który swoją kreacją wydobyl z krawca zdaje się więcej, aniżeli leżało, w zamierzeniach realizatorów, uczynił z niej wstrząsający symbol zagłady pewnego typu człowieka, Jurk Złotnicki bardzo naturalny w roli Dawidka i Śródka, który ocalał zle dialogowaną rolę Natana. Natomiast błędem charakterystycznym jest rażąca chwila Jadzi, a Pichelski interpretuje Wojtana w ten sposób, że pozbawia go cech żywego człowieka.

LESZCZ

WIADOMO: HORZYCA

Skradziony Wiechow! tytuł oznacza: z każdej porze sezonu, na jego wstępie, czy w dni bezpośrednio poprzedzające letnią przerwę, zjechać możesz do teatru (w jakimkolwiek z miast polskich rzecz by się nie działa), którym kieruje Wilam Horzyca i nie spotka cię tam nigdy przykra niespodzianka.

Wiadomo: Horzyca — to znaczy: spokojna, uzasadniona pewność i także zaufanie.

Napisanie tych bardzo pochwalnych słów przychodzi mi tym łatwiej, iż wiem (z ust samego Horzycy — oświadczył mi to w ubiegłym sezonie w Toruniu), że człowiek, którego one dotyczą, obecny dyrektor Państwowego Teatru Polskiego w Poznaniu, Wilam Horzyca, nie czyta nigdy recenzji teatralnych.

Możnaby oczywiście dyskutować, czy słuszna jest postawa kierownika sceny, który nie interesuje się („nerwy trzeba szanować, proszę pana”) opinią recenzentów o swojej pracy. Tym razem jednak jest mi to bardzo na rękę: wiem, że piszę to no pewno dla wszystkich prócz tego, o którym mowa.

Spotkania moje z teatrem Horzycy (zaczęły się one przed wojną, we Lwowie) nie były, niestety, w latach 1945/49 zbyt częste: Katowice („Zieleni się zboże”, „Zemsta”), Toruń i Bydgoszcz („Życie snem”, „Pan inspektor przyszedł”, „Obrona Ksanotypy”, „Świerszcz za konimem”) i wreszcie Poznań („Przemysław II” i „Klub Kawalerów”).

Nie wszystkie z wymienionych wyżej sztuk inscenizował lub reżyserował sam Horzyca, wszystkie one jednak stanowią jego teatr. Horzyca bowiem nie spałby na pewno spokojnie ani jednej nocy, gdyby działo się coś w jego teatrze bez jego udziału. Tym się on różni od wielu kierowników scen. Nie narzuca współpracującym z nim reżyserom swojej koncepcji — chce jednak ich indywidualną myśl uzgodnić z własną. W ogniu dyskusji (nieraz długich i gorących) narasta rozwiązanie, będące

własnością inscenizatora, zaangażowanego do danej sztuki, ale noszące na sobie ślad myśli Horzycy. Nie jest to ambicja: wszystko po mojemu — jest to raczej: pańskie oko konia tuczy. Horzyca jest prawdziwym dyrektorem teatru. Interesuje się wszystkim. Splendor sukcesu przekazuje na realizatorów — ciężar niepowodzenia (jeśli się tak zdarzy) przyjmuje na siebie. Można z góry założyć, iż nigdy, w wypadku jakiegokolwiek klapy, nie usłyszysz z jego ust tłumaczenia: nie ja to robiłem. Niepowodzenie zdarzyło się w jego teatrze i on jest za nie co najmniej współodpowiedzialny.

Zasadniczą cechą każdego spektaklu w teatrze Horzycy jest logiczność w powiązaniu poszczególnych elementów w jedną harmonijną całość. Każdy szczegół dekoracyjny musi być w zgodzie z założeniami reżysera, każdy gest aktora wynika z przyjętego w rozwiązaniu ogólnym sposobu potraktowania pojedynczej postaci. Logiczność ta jest zazwyczaj prosta i przejrzysta. Wszystko, jakby powiedział Żukrowski, trzyma się kupy. Nie ma tu zawiąsów myślowych, zagadek, dwuznaczników. Najprostszą drogą do celu, którym jest spektakl, dla każdego zrozumiały, a na wysokim poziomie artystycznym postawiony.

Aby równie prosto i zwięźle zakończyć charakterystykę teatru Horzycy, trzeba dorzucić, iż tak uzgodniona w szczegółach koncepcja sztuki realizowana jest zawsze bardzo rzetelnie, z pełnym poszanowaniem najbardziej idealnych wskazań teatralnego rzemiosła. U Horzycy nie można się wykić byle jaką robotą. Spektakl „Klubu Kawalerów”) jest prosty i zdrowy. Pod tę niewinną komedię Bałuckiego nie podkłada się żadnych wydziewików. Bez balastu profesorskich dociekań i przyczynków. Rzecz w tym, by publiczność na lato otrzymała miłą rozrywkę. Miłą, ale nie taną. Nie wystarczy, by sam tekst, by sama fabuła przyciągała widzów. Aktorzy pracują

jak na otwarciu sezonu. Dekoracje tak sensowne i solidne rzadko ogląda się w Warszawie. Mam tylko jedno jedyne zastrzeżenie, dotyczące próby ożywienia podstarzałej komedijki muzyczno-tekstowymi wstawkami. Na muzykę godzę się bez zmużenia oka. Wydaje mi się natomiast, iż przy okazji dokonałem pewnego odkrycia: Bałucki, jak powszechnie wiadomo, popełnił samobójstwo. Tajemnicę jego śmierci można by uzasadnić przypuszczeniem, iż autor „Gęsi i gąsek” przeczuwał, że teksty piosenek do jego „Klubu Kawalerów” będzie pisał Witold Zechenter. Przepraszam wrażliwszych czytelników za ten, może nieco niesmaczny żart, ale trzeba jakoś wyładować szewską pasję, ogarniającą człowieka, zmuszonego do wysłuchania prostactw i niewybredności, od wielu lat usiłującego wśliznąć się między satyryków Zechentera.

Nie będziemy się wdawać tu w analizę treści „Klubu Kawalerów”. Rzecz zgoła nikomu niepotrzebna. Możemy śmiało przejść do poświęcenia kilku słów wykonawcom spek-

taklu i otworzyć listę, wyróżnionych nazwiskiem Janiny Jabłonowskiej, która jako Jadwiga Ochotnicka musiała na pewno po zejściu ze sceny zastać w garderobie następców Niemślańskich, Wygodnickich i Motylińskich wyczekujących z tradycyjnymi bukietami oświadczeniowymi w rękę. Teza pani Pelagii o głowie i szyi znalazła w Jabłonowskiej idealną i przekonującą ilustrację.

Wyróżnić trzeba dalej Zofię Wierzejską (Pelagia Dziurdziulińska), no i oczywiście Marię Mincerównę, która w rolę Maryni włożyła wiele szczerego przeżycia, popartego dużym talentem i możliwościami odtwórczymi. Reszta obsady (Podborówna, Rudnicki, Relski, Mroczkowski, Łobodziński, Mirecki, Rydel, Lam i inni) na poziomie równym, a zupełnie aienagannym.

Jerzy Arleński

Na zamówienia kierowane do administracji „DZIS I JUTRO”
Sp. Wyd. „PAX”
WYSYLA
powieść
G. BERNANOSA
„POD SŁOŃCEM SZATANA”
Prosimy o wpłatę zł. 950— za egz. na konto PKO I-8515 lub przekazem pocztowym

POPIERAJJCIE

Katolicki Uniwersytet Lubelski

TYDZIEŃ KULTURALNY

UCHWAŁA KOMITETU MINISTRÓW DO SPRAW KULTURY W SPRAWIE PAŃSTWOWYCH NAGRÓD NAUKOWYCH

KOMITET Ministrów do Spraw Kultury ustanowił, w celu uczczenia wybitnych osiągnięć i zasług w dziele rozwoju nauki polskiej — Państwowe Nagrody Naukowe pierwszego i drugiego stopnia.

Nagrody przyznawane będą bądź za całokształt pracy naukowej, bądź też za najwybitniejsze dzieło wykonane (pracę opublikowaną) w ciągu trzech lat poprzedzających datę przyznania nagrody w dziedzinie nauk technicznych, lekarskich, matematycznych, przyrodniczych, rolniczych, humanistycznych, prawno-ekonomicznych i społecznych. Nagradzane mogą być również prace wykonane zespołowo.

Komitet Ministrów do Spraw Kultury ustali co roku ilość i wysokość nagród. Nagrody przyznawane będą przez Komisje Państwowych Nagród Naukowych, a zatwierdzone przez Komitet Ministrów do Spraw Kultury.

Komitet Ministrów do Spraw Kultury, na wniosek Ministra Oświaty, powoła każdego roku trzy Komisje Państwowych Nagród Naukowych: dla nauk technicznych, dla nauk lekarskich, matematycznych, przyrodniczych i rolniczych oraz dla nauk humanistycznych, prawno-ekonomicznych i społecznych.

Każda Komisja składać się będzie z pięciu członków, w tej liczbie po jednym przedstawicielu Ministra Oświaty i Rady Głównej do Spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Przewodniczącym Komisji będzie przedstawiciel Ministra Oświaty.

Nagrody będą wręczone co roku w dniu 22 lipca. Po raz pierwszy nagrody będą przyznane w roku 1949.

FILHARMONIE I OPERY — PRZEDSIĘBIORSTWAMI PAŃSTWOWYMI

W ślad za teatrami, objęte zostaną od przyszłego sezonu siecią przedsiębiorstw państwowych filharmonie i opery.

Reorganizacja tych placówek po ciągnęła za sobą zmiany w ich kierownictwie.

Minister Kultury i Sztuki mianował z dniem 1 września rb.:

Dyrektorem przedsiębiorstwa „Państwowa Opera i Filharmonia” w Warszawie — Zdzisława Górzyńskiego, który obejmie jednocześnie dyrekcję artystyczną Opery; dyrektorem artystycznym Filharmonii — Mieczysława Mierzejewskiego, wicedyrektorem przedsiębiorstwa — Tadeusza Laskowskiego.

Dyrektorem i kierownikiem artystycznym przedsiębiorstwa „Państwowa Filharmonia w Krakowie” — Piotra Perkowskiego, wicedyrektorem przedsiębiorstwa — Tadeusza Krzenińskiego.

Dyrektorem przedsiębiorstwa „Państwowa Filharmonia Śląska w Katowicach” — Włodzimierza Stabla, dyrektorem artystycznym — Bolesława Woytowicza.

Dyrektorem i kierownikiem artystycznym przedsiębiorstwa „Państwowa Filharmonia Bałtycka w Gdańsku” — dra Zygmunta Latońskiego, który obejmie jednocześnie dyrekcję Opery Leśnej w Sopocie i Studium Muzyczno-Dramatycznego w Gdańsku.

Dyrektorem i kierownikiem artystycznym przedsiębiorstwa „Państwowa Filharmonia w Poznaniu” — Tadeusza Szeligowskiego, wicedyrektorem przedsiębiorstwa — Zdzisława Śliwińskiego.

Dyrektorem przedsiębiorstwa „Państwowa Filharmonia w Łodzi” — Romana Irzykowskiego.

Dyrektorem i kierownikiem artystycznym przedsiębiorstwa „Państwowy Teatr Wielki w Poznaniu” — Waleriana Bierdiajewa, a wicedyrektorem przedsiębiorstwa — Włodzimierza Globisza.

Dyrektorem przedsiębiorstwa „Państwowa Opera Śląska w Bytomiu” — Tadeusza Bursztynowicza, kierownikiem artystycznym — Stefana Belinę - Skupiewskiego.

Dyrektorem Opery, prowadzonej w ramach przedsiębiorstwa „Państwowy Teatr Dolnośląski we Wrocławiu” — Jerzego Gardę, zastępcą dyrektora Opery — Stefana Syrylę.

LAUREACI NAGRÓD ARTYSTYCZNYCH M. ST. WARSZAWY

JURY nagród artystycznych m. st. Warszawy na posiedzeniu w dniu 5 lipca rb. przyznało na-

oraz Helmuta Rolofia, którzy z towarzyszeniem orkiestry wykonali oba Fortepianowe Koncerty Chopina.

ROK CHOPINOWSKI W ZSRR

RADZIECKIE koła muzyczne przygotowują się do uroczystego obchodu 100 rocznicy zgonu Fryderyka Chopina, przypadającej na jesień br.

W chwili obecnej organizowane są odczyty, wieczory muzyczne i wystawy poświęcone twórczości i życiu genialnego kompozytora.

W Konserwatorium Moskiewskim odbędzie się cykl koncertów chopinowskich w wykonaniu czołowych pianistów radzieckich i Orkiestry Symfonicznej ZSRR. Wykonany zostanie również poemat symfoniczny kompozytora radzieckiego Lapunowa pt. „Żelazowa Wola”, poświęcony Chopinowi.

Cykl koncertów chopinowskich zorganizowany zostanie również w Leningradzie. Studenci konserwatoriów i szkół muzycznych wezmą udział w licznych konkursach na najlepsze wykonanie dzieł Chopina.

Radzieckie wydawnictwa uczczą rocznicę wydaniem kilku monografi o Chopinie oraz pełnego zbioru dzieł wielkiego kompozytora.

grode muzyczną m. st. Warszawy za r. 1949 w wysokości 120 tysięcy zł znanej kompozytorce i skrzypaczce **GRAŻYŃIE BACEWICZÓWŃIE**.

Nagroda muzyczna m. st. Warszawy została przyznana G. Bacewiczównie za całokształt działalności kompozytorskiej, wirtuozowskiej, organizacyjnej i pedagogicznej, a zwłaszcza za osiągnięcia i dążenia artystyczne i społeczne, przyczyniając się do rozwoju polskiej kultury muzycznej w duchu postępu.

Grażyna Bacewicz ó w n a (ur. w 1913 r.), ukończyła Konserwatorium Warszawskie z dwoma dyplomami — jako kompozytor i skrzypaczka. Następnie kontynuowała swe studia w Paryżu (u Nadii Boulanger, Toureta i Flescha), gdzie otrzymała I nagrodę na Kwintet na instrumenty dęte. Przed wojną koncertowała poza krajem we Francji, Hiszpanii i w Krajach Bałtyckich; po wojnie znowu we Francji — w r. 1946 i 47.

Przez pewien czas zajmowała się pracą pedagogiczną w Konserwatorium w Łodzi — obecnie poświęca się wyłącznie pracy twórczej i odtwórczej. Jest też jednym z czynniejszych członków w Zarządzie Związku Kompozytorów Polskich.

Podczas wojny Bacewiczówna wycofała się całkowicie z publicznego życia muzycznego, biorąc jedynie udział w koncertach konspiracyjnych i dobroczynnych. W tym okresie pracowała intensywnie twórczo.

Powstanie Warszawskie przeżyła w Warszawie, biorąc czynny udział w pomocy bezdomnym i ranym.

Bacewiczówna należy do naszych najzdolniejszych kompozytorów.

Najważniejsze pozycje w jej dorobku artystycznym to: 3 Koncerty skrzypcowe (III-ci grany w tym roku we wszystkich filharmoniach polskich i nagrany na płycie). Czekamy, kiedy Bacewiczówna zaprezentuje go zagranicą). Koncert fortepianowy nagrodzony w rb. na konkursie ku czci Chopina (utwór ten usłyszymy na początku przyszłego sezonu w Filharmonii w wykonaniu Szpinalskiego). Kantata Olimpijska na orkiestrę i chór, wyróżniona na Olimpiadzie w Londynie w 1948 r., Uwertura, 3 Kwarty smyczkowe, 2 Trii, 3 Sonaty skrzypcowe, Suita na dwoje skrzypiec, oraz szereg drobniejszych utworów skrzypcowych, fortepianowych, na instrumenty dęte, pieśni, a także utworów pedagogicznych i upowszechnionych.

Utwory Bacewiczówny wykonane były poza Polską we Francji, Holandii, Czechosłowacji, Danii itd. Wiele z nich wydanych jest w Polskim Wydawnictwie Muzycznym, w „Czytelniku” i u Arcta.

Najbliższe projekty kompozytorskie Grażyny Bacewiczówny to: Rapsodia Polska na skrzypce z orkiestrą i Bajka na orkiestrę symfoniczną z głosem recytacyjnym.

Jury nagrody państwowej m. st. Warszawy na posiedzeniu w dniu 1 lipca rb. przyznało nagrodę za rok 1949, w wysokości 120 tys. zł artystyce grafikowi, **Tadeuszowi Kulisiwiczowi**, profesorowi Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

W uzasadnieniu jury stwierdza, że już najwcześniejsze prace prof. T. Kulisiwicza mają postępową treść społeczną. Bezpośrednio po wyzwoleniu kraju prof. Kulisiwicz wykonał cykl prac graficznych odzwierciedlających tragedię

Warszawy. Postawa twórcza artysty znalazła też swój wyraz w działalności pedagogicznej w Akademii Sztuk Pięknych zarówno przed wojną, jak i po wojnie. Dowodem owocnej działalności pedagogicznej prof. Kulisiwicza jest otwarty obecnie pokaz prac jego uczniów na dorocznej wystawie w Akademii Sztuk Pięknych.

PROMOCJE DOKTORSKIE NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM

W dniu 3 bm. w Sali Kolumnowej Uniwersytetu Warszawskiego odbyła się uroczysta promocja doktorów medycyny, nauk matematyczno - przyrodniczych oraz teologii.

Na Wydziale Lekarskim tytuły doktorskie otrzymali: Irena Janina Giżycka, Aleksy Jurewicz, Zdzisław Karpowicz, Ewa Osetowa, Wanda Paradowska, Irena Ratajska, Stanisław Zamecki i Kzimir Zkrzewski.

Na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym promocję dokorską wręczono Romanowi Sikorskiemu.

Na Wydziale Teologii tytuł doktora uzyskał ks. Albin Pawicki.

POCZTÓWKI I ODZNAKI ROKU MICKIEWICZOWSKIEGO

KOMITET Mickiewiczowski wydał — w nakładzie 1.000.000 sztuk — serię pocztówek z podobizną Mickiewicza wg portretu Horovita. Pocztówka posiada cztery wydania, różniące się tylko treścią cytatów z dzieł wieszcz, jakie umieszczono pod jego podobizną. Cytaty pochodzą z „Pieśni Filaretów”, „Grażyny” i „Trybuny Ludów”.

Komitet Mickiewiczowski wydał również 20.000 odznak posrebrzanych dla uczczenia jubileuszu. Odznaka przedstawia głowę wieszca. Dochód ze sprzedaży pocztówek i odznak przeznaczony zostanie na odbudowę pomników wieszca, akcję wydawniczą itp.

Rozprowadzeniem pocztówek i odznak zajmą się Komitety terenowe Roku Mickiewiczowskiego. Pocztówki i odznaki nabywać można na Wystawie Mickiewiczowskiej w Muzeum Narodowym i na Wystawach Objazdowych.

DNIA 2 bm. przybyła do Warszawy delegacja bułgarska na konferencję Komisji Mieszanej dla realizacji konwencji kulturalnej polsko-bułgarskiej.

NOWY DYREKTOR PAŃSTWOWEGO MUZEUM ARCHEOLOG.

ZNANY prehistoryk, wieloletni kierownik badań wykopaliskowych w Biskupinie i wicedyrektor Instytutu Badania Starożytności Słowiańskich, dr Zdzisław Adam Rajewski, mianowany został dyrektorem Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie.

Dr Rajewski objął stanowisko z dn. 1 bm. Niezależnie od nowej funkcji dr Rajewski będzie kontynuował swe prace badawczo-wykopaliskowe w Biskupinie.

WYNIKI KONKURSU NA NOWELE I TEKST PIOSENKI MARYNISTYCZNEJ

W lutym br. Zarząd Główny Ligi Morskiej ogłosił konkurs otwarty na nowelę marynistyczną oraz tekst piosenki marynistycznej. Nadesłano ogółem 221 tekstów piosenek marynistycznych oraz 61 nowel.

Jury konkursu postanowiło przyznać nagrody, ufundowane przez Zarząd Główny Ligi Morskiej, następującym autorom:

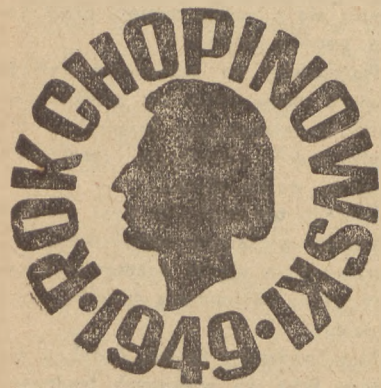
nagrody po 50.000 zł — Bronisławowi Miazgowskiemu z Warszawy za nowelę pt. „Rybaczka”, oraz Stanisławowi Fle-szarowej z Gdyni za nowelę pt. „Na stoczni”;

nagrody po 35.000 zł — Al. Rymkiewiczowi ze Skolimowa za wiersz pt. „Rybaczka” i Tadeuszowi Dębickiemu z Gdańska-Wrzeszcza za wiersz pt. „Polski Brzeg”;

nagrody po 30.000 zł — Zofii Majsnerównie z Sopotu za nowelę „Prawy wentyl” i Czesławowi Czarniawskiemu z Gdańska-Siedlic za nowelę pt. „Pojednanie”;

oraz nagrody po 10.000 zł — Janowi Koniuszowi z Niwce (k/Mysłowice) za wiersz pt. „Dymiące Wybrzeże”. Zbigniewowi Leszczyńskiemu z Pruszkowa za wiersz pt. „Na morze”, Marianowi Saramie z Bielska za wiersz pt. „Brygada Makowskiego” i Adamowi Bahdanowi z Warszawy za wiersz pt. „Polscy marynarze”.

Jednocześnie wyróżniono dyplomami Irenę Piątkowską z Gdańska-Oliwy za nowelę pt. „Srebrne ryby Joanny”, oraz Zygmunta Baczkiwicza ze Szczecina za nowelę pt. „War 52”.



UROCZYSTY KONCERT CHOPINOWSKI W BERLINIE

W dniu 28 czerwca w gmachu Opery Państwowej w Berlinie odbył się uroczysty koncert, poświęcony twórczości Chopina, zorganizowany staraniem Komitetu Chopinowskiego w Niemczech.

Przed rozpoczęciem koncertu krótkie przemówienie, poświęcone twórczości wielkiego kompozytora polskiego, wygłosił znakomity pisarz niemiecki Arnold Zweig, członek honorowego prezydium Komitetu Chopinowskiego w Niemczech.

Publiczność gorąco oklaskiwała wykonawców w osobach Edith Axenfeld (laureatka Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w r. 1937)



Warszawa

PL GRZYBOWSKI 2.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

szkańców Warszawy, Polski, Europy i zgoła całej kuli ziemskiej. Twierdzenie, że ludzkość istnieje dzięki „najniższym instynktom” wydaje się nieco ryzykowne.

Prosząc o wyjaśnienie powyższych wątpliwości, łączę należne wyrazy
Kisiel
(„Tygodnik Powszechny”, Kraków)

Do Redakcji „Dziś i Jutro”.

CZY NAPRAWDĘ OBNIŻY SIĘ POZIOM...

Jestem zupełnie przeciwnego zdania niż autor p. Kor. omawiający w nr 26 „Tygodnika Powszechnego” sprawę dźwiękowej wersji polskiej w filmach zagranicznych. P. Kor. rozdziera szaty nad tą sprawą i wyraźnie obawia się obniżenia poziomu artystycznego filmów.

Ja sądzę, że p. Kor. jest lekko przewrażliwiony na tym punkcie. Technika filmowa stoi już na takim poziomie, gdzie wszystkie usterki po zsynchronizowaniu wersji polskiej z mimiką danego filmu — ulegną likwidacji.

Czy koniecznie musimy żołnierzem chińskiego słyszeć mówiącego po chińsku wysyłając się jednocześnie na odczytanie polskiego napisu, którego nie zawsze można zobaczyć np. biały napis na białym tle — co jest nieuniknione przy filmie jednokolorowym, lub zdażyć odczytać?

Co naję robić krótkowidze? Czy przestać chodzić do kina? A wszyscy zamiast oglądać sam film — czytać napisy.

Mnie się wydaje, że obawy p. Kor. są zupełnie niezasadzone. Poziom artystyczny nie ulegnie obniżeniu, przy odpowiednim poziomie technicznym.

Siedzenie jak na chińskim kazaniu, przy jednoczesnej niemożliwości odczytania napisów (co bardzo często się zdarza) nie wznieca w kinomane nadzwyczajnych wrażeń artystycznych, lecz wprost przeciwnie przestaje bawić, przestaje uczyć. A to jest najważniejsza rola filmu, która gdy jest spełniona, daje odpowiednie wrażenie artystyczne.

To mój pogląd, żądamy wersji polskiej przy zagranicznych filmach.

Do Redakcji „Dziś i Jutro”.

W nr 26 „Tygodnika Powszechnego” zamieszczony został doskonały artykuł Konstantego Turowskiego pt. „Droga do oświaty i kultura wsi”.

Artykuł ten omawia niski poziom kultury i oświaty na wsi ujemne i dodatnie strony oraz możliwości ich u-powszechniania.

Jakkolwiek oburacz podpisałbym się pod powyższym artykułem Konstantego Turowskiego nie mogę zgodzić się niestety (a może na szczęście) z jednym jego spostrzeżeniem dość zasadniczej wagi. Omawiając zagadnienie powrotnego analfabetyzmu na wsi autor pisze: „Uzyskana przez dzieci wiejskie wiedza wywiera słaby wpływ na styl ich życia: obyczaje i zwyczaje, higienę i kulturę domową, język, sposób ubierania się i jedzenia, a prawie żadnego na ich pracę zawodową”.

Jako syn nauczyciela, uczącego przez dwadzieścia z górą lat w jednej wiosce na Podlasiu (a więc w dzielnicy bardzo zaniedbanej) miałem możliwość z obserwacją bezpośrednią, jak i z doświadczenia swego ojca wysnuć szereg wniosków na szczęście zupełnie przeciwnych. Młodzież, która uczyła się w szkole — niekoniecznie do jej ukończenia) jako, że na wsi tam różnie bywa — jak zauważył p. Turowicz) zmieniła swój sposób życia w dużym stopniu. Dało się to „namacać” zauważyć w chwili rozpoczęcia samodzielnej prowadzenia gospodarstw rolnych przejętych po starych czy też już zmarłych rodzicach. A więc z zasady starano się pobudować większe domy conajmniej tzw. trójki (trójzbowe) i użytkować wszystkie izby mieszkalne. Czystość, higiena, kultura domowa podniosła się w stopniu niebywałym. Poczucie potrzeby zmiany dotychczasowego życia w jednej ciemnej i brudnej izbie wzrastało, jedzenie na stołku, spanie na ławie — zniknęły, aczkolwiek nie w jednej chwili i nie w każdym domu — jednak stale i systematycznie; ba., pojawił się widulec zamiast uniwersalnej łyżki, a czasem i noż.

Sposób ubierania się „zrewolucjonizował się” bodajże najszybciej i był powodem niestety zapomnienia o stroju ludowym. W każdym razie stał się on bardziej racjonalny, higieniczny — trudno spać, młodego mężczyźnię przy 35 — 40 st. C. upałe w grubym swetrze i futrzanej czapce, jak to bywało w zwyczaju u starszego pokolenia.

Zainteresowania młodego pokolenia stawały się coraz szersze. Czytanie fachowych rolniczych pism i książek stawało się już codzienną potrzebą, powodowało racjonalizację gospodarki rolnej przez stosowanie sztucznych nawozów, odpowiednich gatunków zbóż, zakładanie sadów (nie tylko z jabłonią i wiśnią) itp.

Jednym słowem — chłop polski zaczął myśleć, zaczął zastanawiać się i poprawiać w rolnictwie to co było złe u jego ojca i dziada.

Jesienne i zimowe wieczory spędzano niekoniecznie przy kartach i wódce, słuchano chętnie radia (wieś zradiofonizowana jeszcze przed wojną w 40 proc., czytano książki — czasem o dużej wartości literackiej (niestety władze sanacyjne nie dbały o wieś zupełnie — bibliotek nie było), prowadzono poważne dyskusje, w wyniku których oblicze wsi zmieniało się powoli lecz stale.

Rozrywki szukano w organizowaniu teatrzyków i chórów amatorskich przy kole Młodzieży Wiejskiej lub Ochotniczej Siraży Pożarnej.

Sprawa języka, wysławianie się pozostała też piękno po ukończeniu szkoły. Znikają rusycyzmy takie jak: k kotoju, pieskoju (spuścizna zaboru rosyjskiego) panny wiejskie zamiast „chi-chołow” po kątach — umięją poważnie porozmawiać na różne tematy — nie mówiąc już o mężczyznach, którzy z reguły na wsi wyprzedzają niewiasty w rozwoju intelektualnym.

Naturalnie starsze pokolenie tkw. w zacofaniu, wspominając „dobre czasy” carskie i oburzając się na młodych „światowców”.

Nie jest więc tak tragicznie, jak pisze p. Turowski, jakkolwiek jest jeszcze bardzo daleko, by można mówić o zadawalnym poziomie kulturalnym i oświatowym na wsi. Do tego potrzebny jest jednak rzetelny stosunek pracownika kultury i oświaty przede wszystkim nauczyciela do wsi.

Więć dzisiejsze rozumie znaczenie oświaty. Dzisiejsze pokolenie dba o wykształcenie swoich dzieci — trzeba im w tym pomóc, a wyniki przejdą nasze oczekiwania.

Jerzy Podlaski

PANIE REDAKTORZE

Dowodzenie słuszności swoich przekonań a zbijanie argumentów przeciwnika jest w publicystyce rzeczą codzienną. Dowodzenie takie powinno jednak polegać na wysnuwaniu argumentów, które przekonałyby czytelników, że racja jest po stronie autora.

Nie wiem jednak, czy zgodzi się mna Pan Redaktor, że trudno zaliczyć do tzw. „moonych” argumentów wypowiedzi autora notatki „Odpowiedź laureatowi” w „Kuźnicy” Nr 25 z dn. 26.IV.49, który polemizując z prof. Konradem Górskim stwierdza, iż działał on sam w życiu umysłowym kraują tyle, a tyle, co wobec tego jest wystarczającym dowodem słuszności jego zdania. (Taki sens całej notatki — o ile się nie myli).

Sądzę, że ocena pozytywnej czy negatywnej działalności nie należy do samego autora, bo samochwalenie nie bywa jednoznaczne z samokrytyką i może być złe (przynajmniej dla autora) zrozumiene.

Dlatego też waga tego rodzaju argumentów jest w oczach czytelników odwrotnie proporcjonalna.

Wydaje mi się, że w dyskusji nie należy większej wagi przywiązywać do argumentów zbyt związanych z własną osobą, bo od megalomanii do zacofania droga bliska. A to zapewne nie było by na ręce p. żkł.

R. H.

Do Redakcji „Dziś i Jutro”

Z ostatnich numerów „Dziś i Jutro” zniknęła z niewiadomych przyczyn rubryka pt. „Treść” — która znajdując się pod tytułem informowała czytelników o zawartości każdego numeru.

Wydaje się, że Sz. Redakcja przesłuszenie postąpiła likwidując w ten sposób dział, który ułatwiał czytelnikom zorientowanie się w artykułach.

Nie wielu jest ludzi, którzy rozważają czytanie czasopisma od pierwszego artykułu i czytając kolejno, kończą na ostatniej stronie. Zazwyczaj sprawa przedstawia się inaczej. Czytelnik lubi przeczytać najpierw to, co interesuje specjalnie, a dopiero potem czyta pozostałe artykuły.

Bardzo często przegląda się czasopismo w tramwaju, autobusie, pociągu, przerzucanie stron celem zapoznania się z treścią numeru przekładza współpasażerom.

Najczęściej po zakupieniu nowego numeru pisma czyta się artykuł najbardziej interesujący (naturalnie dla czytającego) odkładając resztę na dłuższą, wolną chwilę.

Dlatego też sądzę (a wraz ze mną zapewne większość czytelników, jak zorientowałem się w rozmowach) należy wyżej wspomnianą rubrykę przywrócić.

Mam nadzieję, że Sz. Redakcji nie sprawi fakt ten większych trudności, a czytelnicy przyjmą go z dużym zadowoleniem.

Z poważaniem

W. S.

Czytajcie

„Słowo Powszechnie”

Z teki starego dyplomaty

(Dokończenie ze str. 3)

sańskie nie powinno się odwoływać gwałtownie od stołu, bo przerażałoby to podróżnych. Tak samo dyplomata musi okazywać swe pogodnie, załowlone oblicze i cacher ses angoisses sous un sourire”.

W żadnym zawodzie żona jako pani domu nie odgrywa tak wielkiej roli, jak w dyplomacji. Może młodzi oddawać nieocenione usługi lub zniszczyć raz na zawsze całą jego karierę. Przy wyborze szefów placówek musiało się dawniej badać nie tylko kwalifikacje ich samych, ale także ich małżonek. Żona dyplomaty jest właściwie pierwszą osobą ambasady czy poselstwa. Nadaje im ton i urabia ich pozycję. Czy musi być cnotliwa? Naturalnie. Nie wolno jej tylko póki jest młoda być tym, co francuz nazywa „une femme de tout repos”.

Bardzo ważnym czynnikiem w życiu dyplomacji jest jej kancelaria. Mieć pod ręką na każde zawołanie wszystkie akta odnoszące się do danej sprawy, fascykuly obejmujące zarówno instrukcje MSZ i jego telegramy jak i własne sprawozdania oraz odnośne raporty innych placówek, głosy prasy itp., solidnie poukładane i posztywane — oto wypróbowane sposoby najlepszego jej załatwienia.

Jeżeli dyplomata skarży się na przepracowanie i przemęczenie, znaczy to, że jego kancelaria jest źle prowadzona. A nie jest to zadaniem łatwym. W jednej z ambasad paryskich wisiała kartka z napisem: Pour faire X l'archiviste il faut être un homme intelligent, un homme intelligent, ne fait pas l'acti-viste.

należy sięgnąć do metod innych. Na to p. Głównia powiada, że liberalizm typu wielkokapitałistycznego był jedynym prawdziwym liberalizmem, innego, posługującego się inną metodą — nie będzie. Na czym opiera się p. Głównia — nie wiemy; w każdym razie nie na faktach, bo ich, w przeciwieństwie do mnie, nie przytacza (jako jeden z możliwych przykładów podałem New Deal Roosevelta). Wydaje się, że p. Głównia zasięgnął po prostu opinii Wacława Pyfello lub inżyniera Ossowieckiego.

Drugim listem, budzącym moją poważną wątpliwość i troskę jest list, podpisany literami B. C. Autor, gromiąc jakiś szmirawat powieści twierdzi, że: „Tematy poruczone tam to zbrodnie, bijatyki, wyczyny erotyczne itp. Krótko mówiąc, gra na najniższych instynktach” (podkreślenie moje).

Fakt, że p. B. C. napisał swój list oraz że w ogóle żyje, zawdzięczać należy dokonaniom przed laty „wyczynom erotycznym”. To samo tyczy się niżej podpisanego, członków redakcji „Dziś i Jutro”, wszystkich mie-

Nie ulega wątpliwości, że kariera dyplomaty daje najwięcej przyjemności osobistych i stwarza na ogół doskonałe warunki egzystencji. Ale oplaca się nieraz bardzo drogo. Poności się odpowiedzialność za wszystko i pada często ofiarą omyłek lub przewinień innych. Poza tym także smutny jest los dyplomaty, gdy wraca po długim pobycie za granicą do kraju, gdy z salonów ambasady czy poselstwa przenosi się do własnego skromnego mieszkania, straciwszy zupełnie kontakt z otoczeniem. Wnet spostrzega, że zapomniano o nim, kobiety które kochał powychodziły za mąż lub oddały komu innemu swe serca, a gdy znajdzie się w towarzystwie, pozostawiający wstęgi i ordery w domu, słyszy jak młodzi pytają się: co to za staruszek stoi tam smutny w kącie...

Sieci rybackie cienkie i grube
Wore przeciwnożarowe łoczne

Fachowca doglepienie dzwiodzenie i zamienienie w bity nam opinie klientel
niermiennie doskona-
tosci naszych wyrobów

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
iż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka
„IWIS” SP. AKC. GRODZISK MAZ. ul. SPÓŁDZIELCA 2 7067